

NA STRAŻY

Na prawach rękopisu

DWUDZIESTY PIERWSZY BIULETYN WEWNĘTRZNY
ZWIĄZKU PRACY DLA PAŃSTWA

21

Marzec 1946

JEROZOLIMA

NA 19 MARCA

Spadły na Polskę nieszczęścia przekraczające wszystko złe, co działo się kiedykolwiek na naszej, tak dotkliwie przez los doświadczonej ziemi. Rozpętały się siły potworne, jakich nikt w najstraszliwszych przecuciach wyobrazić sobie nie mógł i bezkarnie szaleją nad naszą Ojczyzną. Obca, bezlitosna przemoc i rodzima zdrada podały sobie krwawe ręce i w najnikczemniejszym sojuszu usiłują wymazać Polskę z mapy Europy a imię Polski z politycznego słownika świata, przekreślić cały dorobek naszych dziejów, wielki i dumny naród uczynić niewolnikiem azjatyckiej, barbarzyńskiej Moskwy.

Jeśli naród polski potrzebował kiedykolwiek wielkiego przewodnika w śmiertelnej walce, którą o swój byt toczy, to właśnie dziś, w najczarniejszej godzinie swojej historii.

Jeśli wyjątkowej wagi wydarzenia wymagają wyjątkowej wartości kierowników, to kierownictwo nasze spoczywać winno w genialnych rękach, bo czasy przyszły zaiste olbrzymie.

Takiego wielkiego przewodnika, takiego genialnego Wodza — niestety dziś nie mamy.

Odszedł od nas niedawno — jedenaście lat temu za ledwie — odszedł w obawie i niepokoju o dzieło swego życia, przewidując niebezpieczeństwa, jakie zagrażać

mogą świeżo odzyskanej niepodległości.

Ci, co po Nim przyszli, albo sprostać wyjątkowo trudnym zadaniom nie potrafili, albo — co gorzej — wybrali drogę małości i nędzą dusz własnych wielkość bohaterskiego narodu wymierzać chcieli, godząc się na uczynienie z Polski narzędzia w obcych rękach i obcym celom służącego.

Niema dziś na naszym czole Józefa Piłsudskiego i nie posiadamy równego Mu miarą następcy.

Naród polski musi praw swych dochodzić zbiorowym wysiłkiem, sam musi się zdobyć na myśl, decyzję i czyn, gdy na genialną indywidualność Wodza liczyć dziś nie może. Stoi przed nim najcięższe w całej naszej historii zadanie, najtrudniejszy egzamin dziejowy.

Naród polski próbę tę wytrzyma tak godnie i zaszczytnie, że spokojnie mógłby patrzeć w oczy zmarłego Marszałka.

Nieulekniomy i nieugięty, ofiarny nad wszelki wyraz, trwa na froncie walki niezalamany w wierze, ufny w moc własną, w miłość i wolności niezachwiany.

Na czoło tej walki wysuwa się młode pokolenie. Nie powrzesniowi politykierzy, nie jadem dawniejszych waśni zatrute dusze, nie pomniejszyciele wszystkiego, co było, — ale młodzież polska, najwspanialsza młodzież na świecie, która jest dziś niewątpliwą



spadkobierczynią i wykonawcą testamentu narodowego Wielkiego Marszałka.

Inaczej być nie mogło, gdyż młodzież ta urodziła się w Polsce Piłsudskiego, wychowywała się w Polsce budowanej pod znakiem Jego idei i Jego pracy, uczyła się w szkole z Jego ducha poczętej i w Jego ideologii prowadzonej.

Jak On Polskę nadewszystko miłująca, jak On nieświadząca wszelkich obcych agentur, jak On sprawie wolności oddana. Świadomie czy nieświadomie, rozu-

mowo czy przez bezpośredni instynkt swobody, w walce i ofierze, przez śmierć i rany, stała się realizatorką Jego państwowej myśli i Jego pośmiertnej woli.

„Państwowa“, „narodowa“ „socjalistyczna“ — jednakowe ma podstawy wychowawcze, wspólne przeżycia, wspólne ideały i wspólne zrozumienie tej najgłębszej prawdy, którą Piłsudski pracą całego życia przepełnił wszystkich Polaków:

„Zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska; być zwyciężonym i nie ulec — to zwycięstwo.“

PIŁSUDSKI MÓWI

Z PRZEMÓWIENIA W TORUNIU.

Każdy naród posiada pomniki, które zawarły w sobie jego cierpienia i radości, jak w jednym ognisku ześrodkowując przeżycia całych pokoleń. Takimi pomnikami są: ruiny, pola bitewne, grody, ulice, na tych ulicach domy, na których widok serca biją gorącej i lzy nabiegają do oczu. Są to świątynie historii, których Polskę posiada tak wiele.

Dla mnie, jako dla przedstawiciela państwa polskiego, niema większej świątyni, jak wszystkie granice, którymi poprzerzynano nasz kraj. Ongi, jak Polska szeroka i długa, trwało wspólne życie codzienne nawet z jego śmiesznościami. Rylec dziejowy w jednakowy sposób rzeźbił duszę narodu, pomimo różnic prowincjonalnych wytwarzał się jeden typ człowieka. Wszystko to chciały zburzyć słupy graniczne. Ich mową było: Zapomnij! zapomnij o wspólności, o wspólnym śmiechu, o wspólnych łzach, o wspólnym biesiadowaniu, a w końcu dodano: zapomnij mowy. Za pomocą tej cienkiej, pozornie nic nie znaczącej linii, którą przebiegnie najmniejsze nawet zwierzątko — pracowano, by wszczepić w nas w ciągu stuleci różnice nietylko fizyczne, lecz moralne, uczynić z nas ludzi o różnym układzie ducha, o różnych usposobieniach, różnym umyśle, tak, by gdy zajdzie tego potrzeba, mogli walczyć przeciw sobie. Ile włożono wysiłku, ile funduszów, żeby te granice wzmocnić. W tej pracy przecież brały udział trzy wielkie państwa. Na całym świecie niema takiego miejsca, w któreby włożono tyle pracy, jak w umocnienie naszych granic porozbiorowych.

A przeciwko tej pracy szły wysiłki polskie z pokolenia w pokolenie. Niema dla mnie większej świątyni historycznej, jak te granice, którymi nas podzielono. Gdy zbliżam się do dawnej granicy, czuję, iż zbliżam się do świątyni historii i doznaję silnego wzruszenia. Hasło, które ze słupów wbitych wołało do nas niedawno jeszcze: „Zapomnij“, dzisiaj woła mnie i wam: „Pamiętaj!“

A to „pamiętaj“ oznacza nietylko czcze słowa, lecz oznacza „pracuj, i jeszcze raz pracuj, zasypuj tę granicę, którą wróg chciał uczynić przepaścią“.

* * *

PRZEMÓWIENIE PODCZAS OBIADU W GRODNIE.

Moi panowie;

Mówiliście tu wszyscy o waszej ziemi, jako o ziemi leż i męczeństwa. Pójdę za waszym przykładem i parę chwil zajmę waszą uwagę przeszłością tej ziemi.

Kraj ten nazywano zapadłym, była to kraina istotnie zapadła, kraina od Boga zapomniana. Bez względu na to, jakimi słowy nad kołyską dziecięcia śpiewała matka, bez względu na to, jakimi słowy człowiek chwalił Boga, — każdy mieszkaniec tej ziemi czuł kamień młyński na sercu. W kraju cichym, spokojnym, zabitym deskami od świata, panoszy się zawsze obcy, który miał na zawołanie wszystkie przywileje, — obcy, który wprost do ust dziecka wciskał własną mowę, — obcy, który nad każdym mieszkańcem tego kraju panoszył się i panował.

Kraj zapadły, od Boga zapomniany, kraj, w którym uśmiech szczęścia istniał tylko dla garstki ludzi obcych, — to jest to wspomnienie, które ja, syn tej ziemi, noszę od dzieciństwa. I dlatego, moi panowie, gdy teraz w tych czasach mijam Bug i Narew, gdy do moich piersi doleci zapach sosny i szum borów rodzinnych, gdy spojrzę na tę ziemię, na jej obecny wolny oddech, wyznaję otwarcie, że duma mię przenika, — bo wiem, iż do tego uśmiechu szczęścia, słońca, który dał krajowi oddech swobody, również się przyczyniłem. Duma mię rozpiera, gdy patrzę, że ta ziemia tak inaczej wygląda, niż w moich wspomnieniach młodości.

Moi panowie! Holdowałem od dzieciństwa dumnej zasadzie: „móc — to chcieć“, lecz chcieć tak, by wszystkie części ciała były skupione w tej woli chcenia, by we wszystkich komórkach mózgu tkwił ten cel, by

we wszystkich cząsteczkach krwi ta siła chcenia żyła i trwała. Hołdowałem zasadzie tych słów, lecz wiem dobrze, że tej zasadzie hołdowałem nie jeden, a tysiące, — gdy szły na bój za wolność, za szczytne hasła ludzkości. I jeżeli mnie wśród tych męczeństw i tylu bohaterstw udało się być tryumfátorem i należeć do tych, co szczęśliwiej swój los ciągną, to wiem, że zawdzięczam to nie sobie; na to składają się te warunki i okoliczności, że żyjemy, jak w krainie cudu. Oto wielkie potęgi, zdawało się nieskruszone, załamały się w czasie zmagañ, jedne na froncie walczącym, inne u siebie na wewnątrz, — a z nich powstaje nowy świat, nowe ziemie, organizmy i dążenia. I w tych czasach mają wartość dumne słowa: „móc — to chcieć“. Kto chce — ten może, kto chce — ten zwycięża, byle tylko chcenie było chceniem siły, a nie kaprysu lub bezmocy.

Moi panowie! Piękny gród wasz nad cudownym, starym Niemnem, rzucony jakby rozmyślnie ręką Boga, tworzy silną łącznię pomiędzy równie daleką Warszawą, jak i w sierocym oddaleniu leżącym Wilnem, nie tak kruchą, nie tak słabą, jak te dzieła rąk ludzkich! Ta łączność twarda, silna, dla której Niemen i inne rzeczki nie są przeszkodą, ta łączność musi być dziełem waszego wysiłku i chcenia: „móc — to chcieć“, jeżeli tylko chcieć będziecie, to łączność będzie trwała, tylko chciejcie, to tę łączność waszą zbudować potraficie.

Za pomyślność i rozwój waszego pięknego grodu wznoszę mój toast: „Niech żyje!“

* * *

PRZEMÓWIENIE W MIŃSKU LITEWSKIM.

Przedewszystkim chcę podziękować jaknajserdeczniej za to przyjęcie, które mnie, jako Komendanta armii polskiej, spotkało w Mińsku.

Moi panowie, jestem synem tej samej ziemi, co i wy, — i dlatego może więcej rozumiem i odczuwam te wszystkie biedy i nieszczęścia, które były udziałem tej ziemi. Dziadowie nasi nie pamiętają innego czasu, jak czasy niewoli, czasy męki, którą naród cały tutejszy znośił: czy chrześcijanin czy Żyd, czy Polak, czy Białorusin. Każdy mieszkaniec tej ziemi stosować się musiał do gwałtu i przemocy, do sposobów życia nie tych, których chciał, ale do tych, które były mu narzucone. Każdy mieszkaniec tej ziemi rodził się niewolny, ze skutymi rękami, ze zdławioną piersią — oddychać swobodnie, tak, jak oddychają inni w szczęśliwszych ziemiach, syn tej ziemi nie mógł. Panował na tej ziemi zawsze gwałt, panowała na tej ziemi zawsze przemoc.

I oto, gdy przyszła wielka wojna, rozpętanie samego gwałtu i przemocy, gdy po tych ziemiach burza wojenna się przewalała, niszcząc ludzki dobytek, pracę ludzką — jeszcze raz doświadczyła ta ziemia przemocy

i gwałtu, idących ze wschodu, które w imię najszczytniejszych ideałów braterstwa wywierały terror, zmuszały ludzi do życia i stosowania się do praw nie tych, które ludzie pomiędzy sobą miećby chcieli.

Moi panowie! Polska, której mam zaszczyt być przedstawicielem, polskie wojsko, któremu mam honor przewodzić, z chwilą uzyskania swej własnej swobody, z chwilą możliwości oddychania pełną piersią, postanowiła przeciwstawić systemowi gwałtu i przemocy system swobody. Polska idzie wszędzie z hasłem swobody. Polska idzie nie z chęcią ucisku brutalnym butem żołnierskim, nie z chęcią narzucenia komukolwiek stosowania się do jej praw. Z chwilą kiedy, jako syn tej samej ziemi, stanąłem na niej na czele swoich żołnierzy, wydałem ogłoszenie, że ziemi tej nic gwałtem narzucenym nie będzie, że ziemia ta wolny i swobodny głos swój wśród innych ziem podniesie, że ziemia ta sama rozstrzygnie, jak żyć ma, jakim prawem ma się rządzić. Słowom swoim, potwierdzonym przez najwyższe przedstawicielstwo — Sejm Polski zostanę wierny i wiernym będę do końca.

Będziecie, moi państwo, powołani w najbliższym czasie do tego, abyście naprzód zaczęli rządzić sami w instytucjach samorządowych. Potym przyjdzie ta chwila, kiedy będziecie mogli swobodnie wypowiedzieć, jak państwo wasze będzie urządzone. Będzie to wielki akt, gdy po raz pierwszy człowiek na tej ziemi swobodnie wypowiadać się będzie. Powołany będzie każdy — ubogi czy bogaty, każdy człowiek będzie miał głos dlatego, by losem ziemi decydowała większość.

Proszę panów, będę dumny z Polski, będę dumny ze swoich żołnierzy, będę dumny wreszcie z siebie samego, jeżeli będę mógł tej nieszczęsnej ziemi dać najcenniejszy dar Boży — dar swobody. Będę dumny, gdy ziemia ta godną swobody się okaże, jeżeli zamiast sporów i walk wzajemnych współpraca pomiędzy ludźmi wniesie to, czego ta ziemia od tak dawna potrzebuje.

Życząc panom powodzenia w pracy, która tak bardzo wydaje się niekiedy rozbieżna, a którą w atmosferze swobody tak łatwo będzie połączyć, życzę wam szczęścia i spokoju. Możliwość wypowiedzenia się swobodnie jest i będzie wam zapewniona, dopóki żołnierz polski stać będzie na straży waszej swobody.

Mińsk i ziemia Mińska niech żyją, niech będą wolną i swobodną częścią swobodnego świata!

* * *

ODEZWA DO MIESZKAŃCÓW UKRAINY.

Do Wszystkich Mieszkańców Ukrainy,
Wojska Rzeczypospolitej Polskiej na rozkaz mój ruszyły naprzód, wstępując głęboko na ziemie Ukrainy. Ludności ziem tych czynię wiadomym, że wojska

polskie usuną z terenów, przez naród ukraiński zamieszkałch — obcych najeźdźców, przeciwko którym lud ukraiński powstał z orężem w ręku, broniąc swych sadyb przed gwałtem, rozbojem i grabieżą.

Wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny po to, aby władzę na ziemiach tych mógł objąć prawy rząd ukraiński. Z chwilą, gdy rząd narodowy Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić kraj ten przed nowym najazdem, a wolny naród sam o losach swoich stanowić będzie mocen, — żołnierz polski powróci w granice Rzeczypospolitej Polskiej, spełniwszy szczytne zadanie walki o wolność ludów.

Razem z wojskami polskimi wracają na Ukrainę szeregi walecznych jej synów pod wodzą Atamana Głównego Semena Petlury, które w Rzeczypospolitej Polskiej znalazły schronienie i pomoc w najcięższych dniach próby dla ludu ukraińskiego.

Wierzę, że naród ukraiński wyteży wszystkie siły, aby z pomocą Rzeczypospolitej Polskiej wywalczyć wolność własną i zapewnić żyznym ziemiom swej ojczyzny szczęście i dobrobyt, którymi cieszyć się będzie po powrocie do pracy i pokoju.

Wszystkim mieszkańcom Ukrainy bez różnicy stanu, pochodzenia i wyznania wojska Rzeczypospolitej Polskiej zapewnią obronę i opiekę.

Wzywam naród ukraiński i wszystkich mieszkańców tych ziem, by niosąc cierpliwie ciężary, jakie trudny czas wojny nakłada, dopomagali w miarę sił swoich wojsku Rzeczypospolitej Polskiej w jego krwawej walce o ich własne życie i wolność.

26 kwietnia 1920 r. Kwatera Główna.

Józef Piłsudski

Naczelný Wódz Wojsk Polskich.

* * *

PRZEMÓWIENIE W WINNICY.

Polska i Ukraina przeżyły ciężką niewolę. Oba te kraje należą do tych, na których panował stały terror. Już dziecko uczono tutaj, aby trzymało na więzi swe myśli. Niewola i prześladowania były stałym udziałem obydwu krajów. Wolna Polska nie może być istotnie swobodną, dopóki naokoło panuje wciąż hasło niewolniczego poddawania woli narodowej przemocy terroru. Polska, osiągnąwszy największy skarb na ziemi, t.j. wolność, zdecydowała się odrzucić wszystko to, co wolności zagraża, jaknajdalej od swych granic.

I w błysku naszych bagnietów i naszych szabel nie powinniście widzieć nowego narzucenia cudzej woli. Chcę, abyście w nim widzieli odbłysek swej wolności. Ataman wasz w pięknej swej odezwie obiecał zwołać

jaknajprędzej wolny sejm w wolnej Ukrainie.

szczęśliwym będę, kiedy nie ja — mały sługa swego narodu — ale przedstawiciele sejmu polskiego i ukraińskiego ustanowią wspólną platformę porozumienia. W imieniu Polski wznoszę okrzyk: Niech żyje wolna Ukraina!

* * *

PRZEMÓWIENIE NA BANKIECIE WE LWOWIE.

Moi Panowie!

Lwów! — któreż polskie serce nie drgnie na to miano!

Za dawnych czasów Lwów był takim miastem, jakich dawna Rzeczpospolita Polska miała wiele: miał swoje dni sławy i klęski, lecz niezapomniana jego w historii rola zaczyna się w noc najczarniejszej niewoli.

Po r. 1863 Lwów był miastem najmniej ugodowym. Wówczas to wszędzie wszechwładnie panowała ugoda, wszędzie hasłem była t. zw. rozważa, tak często równoznaczna z tchórzostwem, wszędzie panował t. zw. rozsądek, który, jakże często, był tylko bojaźnią. Lwów był zawsze najbardziej bez trwogi. Tu serca Polski były najśmielej. Kto pragnął odetchnąć uczuciem wolności i nawiązać nić tradycyjną myśli, czyli walki o niepodległość Polski, musiał oprzeć pracę o Lwów, gdzie były serca goręcej rwące się do wolności.

Na tarczy waszej herbowej wypisane są słowa: „Zawsze wierny!“ — i dlatego iluż tu wiernych szukało ucieczki. Ilu wiernych złożyło tu głowy, by swym duchem otoczyć opieką to, co tu w sercach najgoręcej żyło — wiarę, że jeszcze nie zginęła. Niech mi będzie wolno, jako temu, który tu, we Lwowie, o ruchu zbrojnym marzył i w czyn realizować go się starał, złożyć osobistą podziękę miastu, które mnie i moich uczniów chowało, gorącym swym uczuciem grzało.

W chwili, kiedy zginęła zhora naszej niewoli, wam przypadł honor pierwszej walki przy waszych murach i domach. Tak, jakby na zakończenie marszu pogrzebowego, który grano nad Polską, u was zabrzmiał ostatni akord — nie pogrzebu, lecz tryumfu.

Pozwólcie panowie, że przypomnę, w jakich warunkach była Polska wówczas — przed dwoma laty. Nie była to Polska dzisiejsza, która rozporządza setkami tysięcy dłoni, zdolnych pochwyć żelazne bagnety, i setkami paszcz armatnich, które jej bronić są w stanie. Polska z przed dwu lat, powołując synów do broni, nie miała bagnietów, któreby w ręce żołnierza włożyć mogła; gdy miała broń, nie miała odzienia; gdy miała odzienie, nie miała naboju. Taką była wtedy Polska, gdy w łachmany wojenne ubrane zastępy szły pod Lwów, by go od najazdu bronić.

Bój był prowadzony o miasto obleżone. To nie jest

zwykły bój, proszę panów. Miasto wywiera wpływ na żołnierza niesłychanie silny. Każda trwoga, każdy niepokój, każde drgnięcie serca miasta niewidzialnymi nerwami bieży tam, gdzie na krańcach jego bój się toczy, do najdalej wysuniętej placówki żołnierskiej. Żołnierz staje się obywatelem miasta, miasto staje się żołnierzem. Miasto i żołnierz żyją wspólnym życiem. Trwoga i lęk, czy ufność i wiara mieszkańców, to potęgi ciemne lub jasne, które dają klęskę lub zwycięstwo. Żołnierz staje się zależny od siły lub słabości tych, których broni, tak, że niewiadomo nieraz, co ważniejsze — czy żołnierz, czy duch miasta, które żołnierz ten broni.

Lwów w dniach dla niego ciężkich stał się zbiorowym żołnierzem. Od jego pewności i jego wiary zależało, czy każdy żołnierz stać będzie spokojnie na placówce. A miasto jest w cięższych warunkach, niż żołnierz na froncie. Miasto nie widzi nieprzyjaciela, nie widzi bezpośrednio rezultatów strzałów, nie zna podniecenia, jakie daje walka oko w oko. Miastu przypadają w udziale tylko same męki i trwogi. Dzieciom zagraża nędza, rodziców chwytą śmiertelna obawa. Miasto musi brać udział w zbiorowym wysiłku, musi opanować swój lęk, trzymać na wodzy swą niepewność, by strachem nie zarazić tych, co stoją na jego straży.

Tych kilkadziesiąt dni walki uczyniły ze Lwowa dzielnego żołnierza.

Dlatego ja, jako Naczelnny Wódz, który ma za zadanie odznaczać najdzielniejszych wśród dzielnych, najwaleczniejszych wśród walecznych, z całą sumiennością, a zarazem z uczuciem szczęścia rozstrzygnąłem, że mogę dać zbiorowemu żołnierzowi — miastu waszemu — najwyższą odznakę wojskową.

Jako najstarszy kawaler orderu „Virtuti Militari“ wznoszę toast: Miasto Lwów, kawaler orderu „Virtuti Militari“, niech żyje!

* * *

PRZEMÓWIENIE NA OBIEDZIE W LUBLINIE.

...Proszę Panów! Przechodzę do ostatniej myśli, którą chciałem tu z panami poruszyć. Polska ma przed sobą wielką pracę. Polska, ta wysniona, wymarzona, ma wszystkie zewnętrzne cechy, którymi my, wychowani w niewoli, cieszyć się możemy, wielkie wojsko, wielkie tryumfy, wielką zewnętrzną siłę, wielką potęgę, którą i wrogowie i przyjaciele szanować i uznawać, — chociażby nie chcieli — muszą.

Mamy Orła Białego, szumiącego nad głowami, mamy tysiące powodów, którymi serca nasze cieszyć możemy. Lecz uderzmy się w piersi! Czy mamy dość wewnętrzną siłę? Czy mamy dość tej potęgi duszy? Czy mamy dość tej potęgi materialnej, aby wytrzymać jeszcze te próby, które nas czekają? Przed Polską leży i

stoi wielkie pytanie: czy ma być państwem równorzędnym z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym, potrzebującym opieki możnych.

Na to pytanie Polska jeszcze nie odpowiedziała. Ten egzamin z sił swoich zdać jeszcze musi. Czekają nas pod tym względem wielki wysiłek, na który my wszyscy, nowoczesne pokolenie, zdobyć się musimy, jeżeli chcemy zabezpieczyć następnym pokoleniom łatwe życie, jeżeli chcemy obrócić tak daleko koło historii, aby wielka Rzeczpospolita Polska była największą potęgą nie tylko wojenną, lecz także kulturalną na całym Wschodzie.

Wskrzesić i tak ją postawić w sile i mocy, potędze ducha i wielkiej kultury musimy, aby się mogła ostać w tych wielkich, być może, przewrotach, które ludzkość czekają. Na pracę tak ciężką, podczas wojny — bo my wojnę przecież toczymy tak ciężką, gdy się wysiłek wszelki rzuca na szalę wojenną, jednak kraj koniecznie, zdaniem moim, zdobyć się musi. W pracy tej potrzeba umieć być ofiarnym. Jeżeli mówię o ofierze, to nie mówię o ofierze względnie łatwej.

Tam, gdzie chodzi o życie, tam, gdzie chodzi o krew, jest ta ofiara najłatwiejsza, chociaż w laury owita. To jest ofiara, na którą Polak napewno się zdobędzie. Idzie o ofiarę ciężką, idzie o ofiarę, robioną dla siły całego narodu, idzie o ofiarę i umiejętność robienia ustępstw wzajemnych, idzie o ofiarę z tego, co ludziom być może i jest najdroższe, o ofiarę ze swoich przekonań i poglądów. Idzie o to, aby kraj nasz zrozumiał, że swoboda to nie jest „mnie wszystko wolno, a drugiemu nie“, że swoboda, jeżeli ma dać siłę, musi jednoczyć, musi łączyć, musi rękę sąsiadom i przeciwnikom podawać, musi umieć godzić sprzeczności, a nie tylko przy swoim się upierać.

Z takiej jedynie ustępliwości wzajemnej, z takiego jedynie szanowania wzajemnego, z takiej jedynie umiejętności podawania do wspólnej pracy dłoni wszystkim, wypływa moc wielka w chwilach trudnych i w chwilach kryzysów państwowych. Patrzcie, jak w wojnie, tej wielkiej próbie sił narodów i państw, w której przegrana, jak to byliśmy świadkami, w gruzy rozsypuje wielkie potęgi, potęgi, przed którymi niedawno drżeliśmy, jak w takiej wojnie narody bezwiednie szukają siły w zjednoczeniu, siły w podaniu sobie dłoni, siły w zapomnieniu różnic, siły w umiejętności zawierania kompromisów.

Proszę Panów! Praca ta dotychczas w Polsce małą była. Z serca wdzięcznego, z serca, przepelnionego nadwyczaż serdecznym uczuciem dla miasta i w stosunku do ziemi, którą widziałem ongiś w łunach pożarów, cierpiącą pod przemocą wojenną, a jednak tak serdecznej i tak ciepłej, z serca, przepelnionego wdzięcznością, i z myślą, aby ta ziemia, która jakgdyby przez los rzucona

i przez los wskazana, w której tyle jest i Polski i kresów, w której jakgdyby na południu, gorętsza krew niż gdzieindziej bije, życząc, aby ta ziemia służyła zawsze przykładem i umiejętnością zgodnego współżycia i umiejętnością pogodzenia najbardziej rażących sprzeczności, z myślą tą i z serca wdzięcznego wznoszę kielich na cześć miasta Lublina i Ziemi Lubelskiej.

* * *

Z WYWIADU KORESPONDENTA „LE PETIT PARISIEN“.

Nie obawiam się bynajmniej słynnej propagandy bolszewickiej, z której niektórzy robią straszaka. Nie wywiera ona wpływu na Polskę. Może ona najwyżej wywołać tu lub tam lokalne zaburzenia; ale niezdolna jest wzniecić ogólny ruch rewolucyjny dla tej prostej racji, że znajdujemy się zbyt blisko Rosji. My właśnie, jako sąsiedzi Republiki Sowieckiej, mogliśmy bardzo dokładnie zdać sobie sprawę z wyników doświadczeń komunistycznych. W Polsce nawet ludzie — żeby nikogo nie obrazić, powiedzmy — najbardziej radykalni, są przerażeni otchłanią, w jaką bolszewizm wtrącił Rosję. Zdają sobie z tego sprawę. Należy więc strzec się pójszcia za tym przykładem. Propaganda bolszewicka może wyzyskać w pewnych chwilach niezadowolenie z bolączek wewnętrznych, trudnych do uniknięcia w obecnym położeniu gospodarczym, ale nie może narzucić ustroju komunistycznego. Narody europejskie, bardziej oddalone od ogniska bolszewickiego, mogą jeszcze wierzyć w piękno ustroju, wprowadzonego przez Lenina. My zaś, którzy oceniamy go z bliska, mamy o nim zdanie wyrobione. Przerażenia jesteście okropną sytuacją, wytworzoną w Rosji przez bolszewizm...

* * *

ROK 1920. (wyjątki)

...P. Tuchaczewski prowadził swe armie ku Wiśle i za Wisłę w imieniu i z zadaniem niesienia siłą tego, co w rozważaniach zagadnienia nazywa rewolucją z zewnątrz. Już sam tytuł zadania wojennego ma w sobie ślady wyraźne faktu, że rewolucja wewnętrzna nie istniała, gdyż ją na ostrzu bagnatów z zewnątrz przynosić trzeba było. W każdym razie faktem było niezaprzeczoną, co stwierdza i p. Tuchaczewski, że sowiecka Rosja wojnę prowadziła z nami pod hasłem narzucenia nam, Polakom, ustroju jednakowego ze sobą t.zn. sowieckiego, i ten cel chrzcila nazwą rewolucji z zewnątrz. Fakt, że taki właśnie cel był dla wojny postawiony, był mi zupełnie dobrze znany i dlatego stwierdzam od razu, że osobiście prowadziłem wojnę nie o co innego, jak o to, aby ta rewolucja z zewnątrz przez sowieckie bagne-

ty do nas przyniesioną nie była. Polska początek wojny z Sowiecami miała już w r. 1918, a był to rok, w którym zaledwie dwa ostatnie miesiące żyć zaczęła życiem samodzielnym. Dotąd bowiem, jak zapewne p. Tuchaczewskiemu wiadomo, żyć była zmuszoną — również przez bagnety, panie Tuchaczewski — życiem nie polskim, przez siebie samą urządzonym, lecz życiem obcym, związanym aż z trzema państwami: Rosją, Niemcami i Austrią. Ta niewola u zaborców trwała do końca r. 1918, już więcej, niż 120 lat. Więcej zatem, niż wiek cały, darzono Polskę za pomocą bagnatów, które ongiś Polskę zwały, dobrodziejstwami życia obcego i dlatego nieraz gorąco znienawidzonego. Polska więc w r. 1918 rozpoczynała na początku zimy wiosenny okres swego swobodnego życia po wiekowej niewoli. I chociaż ta wiosna w historii naszej zwaną będzie krótkotrwałą, chociaż kwiaty, którymi wiosna ludzi darzy, nie pokrywały barwną powłoką pleśni i wyzieńców wiekowej niewoli-była jednak wiosna ta dość silną, by uzbroid w wysiłki dostateczną ilość ludzi, nie chcących raz jeszcze zakosztować, co znaczy bagnet p. Tuchaczewskiego, niosący zagładę naszego własnego życia na korzyść złych czy dobrych, to było wszystko jedno, lecz przymusowych tortur niewoli. Jako Naczelnik Państwa Polskiego i Wódz Naczelnny jej sił zbrojnych, dumny dotąd jestem, że byłem wyobrazicielem tych, co wiosnę w Polsce głosili i przejawy jej pierśmi własnymi osłaniali.

Postawiłem też sobie, niezależnie od nikogo, już w r. 1918 wyraźny cel dla wojny z Sowiecami. Zdecydowałem, mianowicie, natężyć siły, aby możliwie daleko od miejsc, gdzie się nowe życie wykluwało i wykulowało, obalić wszelkie próby i zakusy narzucenia raz jeszcze życia obcego, życia, nieurządzonego przez nas samych. W r. 1919 zadania tego dokonałem. Odrzuciłem próby sowieckie tak daleko, że pracy odbudowy własnego życia, także złej czy dobrej, w to nie wchodzi, Sowiety nie były w stanie zmącić i jej przeszkadzać....

...Zapytać jednak wolno, czy niema jakiego błędu w rachunkach i kalkulacjach p. Tuchaczewskiego? Gdy po zwycięstwach jego, odniesionych nad nami, praca budownictwa u nas, pod wpływem tych zwycięstw, zamarła, gdy rękę swą już wyciągał po centrum naszego życia, stolicę Warszawę, gdy więc bagnety zrobiły już swoje, rewolucja sowiecka jednak pozostała tylko na bagnatach, nie mając wtedy wartości wewnętrznej w Polsce. A przecie cały rachunek p. Tuchaczewskiego i jego państwa nie na czym innym się opierał, jak na tym, że bagnety dają tylko hasło i dają możliwość przejawienia siły tejże rewolucji sowieckiej wewnątrz kraju, do którego przyszły...

...Cała frazeologia p. Tuchaczewskiego jest mi dobrze

znaną. Tyle lat życia swego spędziłem w pracy dla ruchu socjalistycznego, że boję się, iż p. Tuchaczewskiego na świecie nie było, gdy literatura ze słów, używanych przez niego, była w moich rękach. Zapożyczona ona jest z prac wielkiego uczonego i myśliciela — Karola Marksa. I chociaż nigdy w swym życiu nie byłem stronnikiem tego, co nazywają materialistycznym pojmowaniem dziejów, a co stawiano zawsze jako podstawę wszelkiej frazeologii marksistów, umiałem zawsze odróżnić wielkość pracy samego Marksa od wulgaryzacji jego głębokich zawsze myśli. Natomiast, gdy widzę p. Tuchaczewskiego, idącego śladami księcia warszawskiego Paskiewicza, jak stuka do bram Warszawy, powtarzając zaklęcia, zaczerpnięte z Marksa, nie mogę nie odpowiedzieć mu tytułem znanej u nas w Polsce broszury innego wielkiego teoretyka socjalizmu, Liebknechta — „Soll Europa kosakisch werde?“. Czy Europa ma zostać kozacką?...

* * *

Z PRZEMÓWIENIA W WILNIE O WSPÓLNYCH DZIEJACH POLSKI I LITWY.

.....Nie mogę zapomnieć, że pomiędzy tymi stolicami było i drogie, kochane Wilno, wyniesione do rzędu stolic — otwarcie to powiedzieć możemy — nie ręką polską, lecz podczas wysiłków narodu litewskiego, gdy ten znajdował się w otwartej i wielkiej walce z całym otaczającym światem, nie wyłączając Polski. Niezwykła wola wielkich bohaterów Litwy pogańskiej, którzy wtedy budowali wielkie państwo od morza do morza, od murów osławionej Moskwy, aż hen po brzegi szarej Wisły, wola wielkich rycerzy, wielkich w rozczulającej zgodzie Kiejstutów i Olgierdów, wielkich również w historycznych sporach Witolda i Jagielly, — wzniosła te mury, zbudowała fundamenty naszego miasta, jako swojej stolicy.

Dalej przyszła epoka Jagiellonów, epoka wielkich prac o dziejowym znaczeniu, gdy wspólnymi wysiłkami obojga, jak wówczas mówiono, narodów nie gdzieindziej, jak tutaj, w równorzędnej z Krakowem stolicy, zrobiono z naszego miasta symbol potęgi, siły, kultury i cywilizacji, zwycięsko kroczącej przeciwko barbarzyńskiemu wówczas Wschodowi.

..... Później na Polskę i na oba narody przyszły gromy. Po długich i ciężkich walkach w proch się rozsypały usiłowania i wysiłki tylu pokoleń. Symbole historyczne, pomniki doli i potęgi ludzkiej — stolice nasze — zamarły. Lecz i wtedy nie gdzieindziej, jak tutaj, w wielkim wysiłku woli i ducha ludzkiego, rozpalony został znicz narodowy, którego ciepło grzało i utrzymywało w mocy trwania Polskę, jak szeroka i długa. A jednak spójrzcie! Trzy czwarte pracy naszego największego

geniusza, którego imię powtarza każde dziecko polskie, gdy zaczyna mówić, trzy czwarte, mówię, tej pracy jest związane z dziejami, walkami, cierpieniami i klęskami dawnej Litwy. A geniusz wielkiego poety oswaja gdzieś w dalekich krańcach zachodnich Polski małe dziecko z imionami, brzmiącymi skądinąd obco, z imionami różnych Grażyn, Aldon, Wallenrodów i innych.

Pozwólcie, panowie, poruszyć z tych ciężkich czasów jeszcze jedno wspomnienie, z którym osobiście najbardziej jestem związany. Gdy się urodziłem tu niedaleko Wilna i matka nad kolebką syna lży żalobne roniła, grało jeszcze echo od skrzyżu szubienic, wystawionych nie tylko tu, na placu Łukiskim, lecz hen, tam także — w Kownie Nie mogę zapomnieć, że walka w tamtych stronach była silniejsza, krwawsza i bardziej uporczywa. Gdy nie tylko tutaj, lecz nawet w Królestwie, w Warszawie, walka zamilkła, — powstanie żmudzkie trwało w mocy swej, wciągając do nowych ofiar, do nowego boju setki ludzi, którzy mówić po polsku nie umieli.

Gdy mówię tutaj, oddając dank i cześć naszej wielkiej przeszłości, nie mogę obojętnie przejść do porządku dziennego nad tymi olbrzymimi wysiłkami, wspólnymi dla obojga narodów, które drogie Wilno stolicą i pomnikiem przeszłości uczyniły. Nie mogę nie uchylić nisko czoła przed krwią wspólnie przelaną, krwią, z której się rodzę.

Moi panowie! Wilno wstępuje obecnie w nowe życie, w życie, które formuje się inaczej, niż to, jakie dawała historyczna jego przeszłość. Nie wiem i nie chcę badać, jak będą czuły i rozumowały nasze dzieci. Chcę wierzyć że będą one lepsze, rozumniejsze i szczęśliwsze od nas, chociażby dlatego, że będą chowane w mniej okrutnych, niż my, warunkach. Lecz przez cześć dla przeszłości, przez szacunek dla krwi, wspólnie przelanej, dzisiaj, w dzień wielkiego tryumfu, tryumfu polskiego, który tak gorąco wszyscy tu zebrani odczuwają, nie mogę nie wyciągnąć przez kordon nas dzielący ręki, do tych tam w Kownie, którzy może dzień dzisiejszy, dzień naszego tryumfu, uważają za dzień klęski i żałoby. Nie mogę nie wyciągnąć ręki, nawołując do zgody i miłości. Nie mogę nie uważać ich za braci.

Być może, historia w swych wielkich niezbadanych decyzjach kopie na stałe między nami rów i przedział. Być może, dzieci nasze będą dla siebie nie braćmi, a obcymi. Lecz nam trzeba i wolno czynić usiłowania aby te wyroki, jeśli mają się urzeczywistnić, nie obeszły się bez naszej próby przynajmniej ich złagodzenia.

Pozwólcie, że zakończę moje przemówienie jako Wilnianin. Jestem, moi panowie, w tym wieku, że spokojnie patrzę w tę dal, skąd nikt nie wraca. Wiem, że po tylu wzruszeniach mojego burzliwego życia, wzruszeniach zarówno bogatych w oklaski, jak i gwizdanie, niewiele już wzruszeń los mi gotuje, niewiele wzruszeń

tak wielkich i potężnych, jak te, które przeżyłem. Lecz są wzruszenia tak czyste i niewinne, wzruszenia nieledwie dziecka, które niechybnie będą jeszcze moim udziałem. Do nich należy i dzień dzisiejszy.

Jestem jak dziecko na imieninach swej drogiej matki. Bezkrytyczne oko dziecka, zachwycone matką, nie patrzy i nie pyta, jakie są szatki na jej ciele. Czy jest brzydka, czy jest ładna dla kogo innego, jest i pozostaje dla dziecka czymś pięknym i cudownym, a w dzień jej imienin wzruszone serce bije radośnie. Więc jak to dziecko, wzruszone do głębi, wołam: Niech żyje Wilno!

* * *

DEMOKRACJA A WOJSKO.

...Gdy mówię o ciężkim problemacie dziejowym — demokracja i wojsko, siła i swoboda, działanie nakazu i brak nakazu — gdy mówię o tym problemacie, który się mścił na ludzkości strumieniami przelanej krwi, to wybieram kolory zgodnie z chęcią uniknięcia zgrzytów. Biorę kolor lazuru nieba, kolor wieczności, obojętnej na mękę ludzką — i drugi kolor, zieleni, kolor życia, kolor nadziei, głupoty ludzkiej i tęsknoty.

Rozpatruję problemat bez zgrzytów życiowych. Lazur nieba daje wieczność. Wieczność ludzka jest względna, ale istnieje jako pojęcie. Otóż jeden z rzeczowników w tytule mego referatu — wojsko — ma treść może najbardziej w dziejach wieczną. Czyż archeolog, odczytując hieroglify, odnajdując rysunki dawne, nie znajdzie postaci rycerza, uzbrojonego w dzidę i strzały i niosącego wojnę? Szereg rycerzy, z wozem na czele, prowadzi dzieje człowieka. Jak historia długa — wszędzie znajdujemy wojsko. W tej względnej wieczności naszej — wojsko jest wszędzie, wojsko jest mussem. Oko etnografa, sięgające do głębi puszcz pierwotnych, znajdzie wojsko i wodzów u kolebki ludów. A również i dziecko, gdy oczki ciekawie w książki zapuszcza i z drżącym serduszkim czyta dzieje „Tygrysiich pazurów“ i „Orlich piór“, to znajdzie tam wszędzie dzieje wojowników i ich wodzów. Dotąd ludzkość krwią znaczy swój pochod i dotąd widzimy wieczyste istnienie żołnierza i wojska.

To wieczne istnienie wojska daje nawarstwienia w dziejach, które i dziś wywierają swój nacisk.

Dzieje wojska — to dzieje nakazu. Rozkaz jest życiem wojska, rozkaz, idący od człowieka do człowieka, zmuszający do tej, a nie innej czynności i pracy. Jest to odwieczne życie wojska — rozkaz i mus, związany z rozkazem. A rozkaz najgłębiej sięga tam, gdzie idzie nie tylko po przejawy życia, lecz gdzie zaprzecza jestestwu — i idzie po życie samo. Rozkaz i posłuch, nakaz i mus — to sfera, w której obraca się wojsko. Rozkaz wychodzi od człowieka, nie ubiera się on w żadne abstrakcje.

Uosobienie rozkazu można znaleźć praktycznie w równym sobie człowieku, — nawet w pogardzanym przez innych; a jednak rozkaz działa.

Czy jest coś bardziej sprzecznego, gdy zestawić to wszystko z demokracją? Słatać w jeden rytm demokrację i wojsko — czy jest coś trudniejszego?

Wieczysty problem! Dla takich problemów wiek jest mrugnięciem oka.

W przeszłości długiej, w tej wieczności względnej człowieka, oglądamy i inne dziedziny, nietylko żołnierza, co broń nosi, nietylko to, co było zawsze funkcją siły. Pochód ludzkości z tych dawnych, zamierzających, a łatwo zapomnianych czasów wywleka postacie umarłe, które stają przed nami, jak nagie kościotrupy, świadczące o dawnym blasku życia. Ludzkość ogromną część swego bytowania przeżyła pod władzą królów i cesarzy. Królowie, cesarze, imperatorzy byli dla wszystkich — i dla wojska, i dla tych, których to wojsko broniło, — źródłem siły musu i nakazu. Siła musu i nakazu istniała nietylko dla tych, którzy byli rycerzami, którzy ubiór drużyn królewskich nosili. Był mus i dla tych, którzy w domu pozostawali. Mus królów, cesarzy, imperatorów. I gdy pod jedną połą gronostajowego płaszcza było wojsko, to pod drugą — wszystko to, co wojskiem nie było. Była równość obywatelska wobec nakazu i musu. Ogromną pracą dziejową, nad którą dziś tylko echa grają, szczepy i narody przeszły w takiej, a nie innej formie, dającej nie sprzeczność życia, ale jego jednolitość.

Gdy pochod ludzkości dotąd wojnami jest znaczony, najwyraźniejszą barwą, którą litery historii są pisane, jest barwa krwi czerwonej, przelanej przez żołnierzy. Przy tej barwie znajdziemy barwę korony złotej i barwę purpury płaszcza królewskiego. A na pomoc szedł lazur nieba, szła cała symbolistyka, na jaką ludzkość stać było, by uświęcić przelaną krew. Niebo dawało siłę, dawało treść moralną nakazom — nieraz bezecnym i potwornym.

I długo ludzkość świętokradzką ręką po korony sięgnąć nie śmiała. Nietylko więc w zaraniu dziejów, w tajniach puszcz odwiecznych, czy w trudnych do odcyfrowania księgach dawnych znajdujemy jednolitość musu i nakazu, tyczącego się i wojska, i nie wojska.

Przyszły czasy tak zwanej demokracji.

Dla życia ludzkości stanowią one mgnienie oka, chwilkę tak niedługą, tak krótkotrwałą, że tylko pozioma zarozumiałość ludzka jest w stanie mówić o osiągnięciu szczytu. W załomach duszy uwarstwienie dawnych wieków daje się wyczuć tak silnie, że to, co nazywamy demokracją, wydaje się nieraz pozorem życia — jak frak, który w odświętne dni ubieramy.

Wł walce i krwi rodziła się demokracja, w krwi i burzy.

I gdy my, zmęczeni siedmioletnią wojną, mówimy, żeśmy przeszli tak dużo, to pomyślcie o tym wstrząśnieniu i o tym kryzysie, który nasi ojcowie przeżyli. Gdy w r. 1789 dziecko się rodziło, to gdy kryzys mijał, dziecko, dorosłym będąc, umierało za cesarza. Pokolenie całe nie знаło innego życia, jak ciągła burza, — niezliczone wojny toczyło, by to, co się nazywa demokracją, na świat powstało.

Gdy księgi tych dziejów przeglądam, znajduję nowe dźwięki: więc państwo rozumu, państwo wyborów, państwo równości praw i obowiązków, hasła: „egalité“, „liberté“, swoboda od nakazu, swoboda od musu, równość praw każdego człowieka. I wszystko to siłą wprowadzone w życie. siłą bezwzględna, rozmachem okrutnym.

Czyż wtedy istotę wojska — nakaz i mus — naruszono? Czy chciano wtedy je łamać, gdy setkami ofiar znaczone zwycięstwo rozumu i demokracji — i trony, jak trzaski, padały, a dumne dwory kłaniały się marszałkom zwycięskiej demokracji? Czyż wtedy ten mus łamano, czy próbowano siłą nakazu naruszyć, czy szukano państwa rozumu, co by obywatelowi-żołnierzowi równość prawa dawało?

Owszem. Nie zatrzymano się przed tą przegrodą. Dano wojsku prawo wyboru tych, których słuchać miało. Dla wielkich republikanów niemożliwym było zatrzymać się przed tą przeszkodą. Z wielkich republikanów największy — Danton, suchy Robespierre, dla nich nie dać praw obywatelom, ludziom równym sobie — rzeczą było nie do pomyślenia.

Spróbowano. Wybory w wojsku ogłoszono. Kompania wybierała dowódcę kompanii, dowódcy kompanii — dowódcę batalionu, ci znów dowódcę pułku i tak szło wyżej. A wybór tych, co najcenniejsi, co mózgiem i duszą wojska są, co orłami będąc, w bój wojsko prowadzą, krwawymi oczyma i siłą skrzydeł burze tną, co symbolowi demokracji cokolwiek pod nogi stawiają, — pozostawiono wybranej najwyższej władzy demokracji. Głowy zaś wielkich wodzów oddano jej w ręce; głowami bowiem wodzowie płacili za porażki. Siła była potrzebna demokracji wobec sprzysiężenia całego świata. W walce, w boju, którym demokracja żyła, szukano tego, co broni potrafi używać, co bronić jej miał, co kohorty obywateli z dźwiękiem „Marsylianki“ na ustach do boju miał prowadzić.

Lecz krótko trwały te próby. Już niedługo potem cnotliwy Carnot, organizator sił wojskowych, i wszyscy referenci krwawego Konwentu cofnęli się. Demokracja cofnęła się od problemu, przerażona bezsilnością, odwróciła się, zostawiając wojsku najbardziej starodawne normy z zamierzchłej przeszłości, każąc mu, jak dawniej, nieść ciężar rozkazu indywidualnego i musu, — nakazu i posłuszeństwa.

Problem w walce pierwszej nie został rozwiązany. Sprzeczność zostawiono następcom.

Został problem. Istnieje on dotąd w całej pełni. I tylko ten, kto nie chce widzieć, nie widzi go...

* * *

...Gdy tysiące razy dzieje problemu w myśli przetrzącałem, gdy rażących sprzeczności nie mogłem rozwiązać, szukałem symbolu, tej potęgi symbolu niezbadanej, która ludziom posłuszeństwo narzuca silniej, niż zwyczajna moc nakazu.

Symbolistyka duszy ludzkiej — jakaż ona jest głęboka! Jak wiele jest prawdy w cynicznym określeniu pana wojny, wielkiego Napoleona: Dajcie mi guzik — a zmuszę ludzi żyć i umierać za ten guzik!

Tajemnica symbolu z wieczystego nieba! Czy nie w niej znajdziemy rozprószenie zgrzytu, usunięcie lub złagodzenie problemu?

Gdy ongiś władzę królewską w purpurę i w złoto strojono, nicość ludzką tymi barwy pokrywając, ściągano aż z nieba symbol wieczności, by nicość nie raziła. Potęga symbolu tego tak była wielką, że pod gronostajowym płaszczem królów ludzkość wieki żyła. Gdy oficer pruski z dumą „Kaiserrock“ nosił, potęga symbolu była na nim wyryta.

Czy demokracja symbolu nie znajdzie? Czy ma tylko kamizelki i krawaty rozchelstane i nieokiełzaną swobodę szargania wszelkiej powagi? Radzę się namyśleć, dzieci swobody!

Wszędzie symbolem demokracji od jej początków jest to, co jest prawem. Usiłuje ona dać surogat siły, dając, jako symbol, — prawo, wiszące nad ludem. Prawo usuwa kaprys indywidualny, usuwa osoby, wyraźne twarze ludzkie, nie darząc ich nigdy momentem wieczności, czyniąc je zawsze reprezentantem czegoś, każąc im słuchać wyborców, dając abstrakcyjny symbol. Prawo gronostaje królewskie ubiera. Koronę złotą na głowę mu kładą. I dziś błędem jest demokracji, że sędziów tylko w skromne czarne togi ubiera.

Czy jest to symbol wystarczający? Czy zimny blask prawa grzeje i pociesza? Czy nakaz i mus za sobą prowadzi? Czy niema w nim zbyt daleko sięgających wyjątków? Czy demokracja sama sobie nie przeczy, gdy mówi: naszym królem jest prawo, — i zarazem grzechy królików w grzechy prawa przeistacza?

Szukajmy jeszcze dalej. Czy są inne jakieś symbole, które w historii, jak cement, używane były, jak spoidło, dla budowy demokracji? Gdy mowa o wojsku, jeden symbol jest widoczny. Gdy władza królewska się chwieje, gdy nadchodzi nowa epoka, zamiast symbolów, które z nieba brały swój początek, zostaje surogat cnoty: honor.

Honor — to bóg wojska, który niesie nakaz; ma taką siłę uderzenia, że śmierć wywołuje.

Strzeżcie się, panowie demokraci, go naruszać! Ostatni cement pęka, ostatnia więź pęka! Honor jest potęgą. I wszystkie złączone z nim zwyczaje, śmieszności nawet są upiękśzeniem życia helotów demokracji, dzieci nakazu, żołnierzy i ich wodzów.

Prawo i honor, honor i prawo.

Gdy życie biorę i barwę zieloną życia, kolor nadziei ludzkiej, rozpatruję, gdy tych rzeczy szukam, które mają siłę symbolu, — nie mogąc rozwiązać problemu, wahając się pomiędzy miłością dla siły a miłością dla swobody, prócz prawa i honoru nic nie znajduję.

Prawo i honor, honor i prawo — cement to może wystarczający.

Trzeba im dać żyć. Gdy kwiaty te zaczną żyć — to

i problem w całej swej bezwzględności odejdzie ku przyszłości. Niebo innym roślinom każe wtedy żyć na ziemi... a my w niej już będziemy.

Wahając się pomiędzy miłością dla siły i mocy a między mdlejącą siłą swobody, problemu nie rozstrzygam. Oddaję go, jak brylant, w ręce wasze. Problemem to jeden z najcięższych, który żyje życiem odruchów, problemem, który boją się ludzie w ręce brać i wolą nad brylant prawdy błyskotki szychu i pozoru.

A problem wśród nas żyje i swe istnienie tarciami społecznymi przejawia, głosząc groźbę zagłady — tym czy innym: czy dzieciom swobody, czy dzieciom nakazu, czy demokracji, czy wojsku.

* * *

PRAWDA PRZEMILCZANA

(Udział obozu Piłsudczyków w krajowej akcji podziemnej.)

Prowadzona równolegle do oficjalnej akcji podziemnej lecz przez nią nie poparta i dramatycznie samodzielna działalność doby wojennej Piłsudczyków w Kraju jest w całości nieznana polskiemu ogółowi na emigracji.

Na podstawie autentycznych materiałów dzielimy się obecnie z głębokim wzruszeniem w najogólniejszym zarysie szeregiem informacji, rzucających światło na zasadnicze dzieje tej konspiracyjnej akcji.

Rozpoczęła się ona już w październiku roku 1939. Generał Tokarzewski, pułk. Rowecki, K. Stamirowski, Z. Hempel, Krzysztof Siedlecki i szereg innych działaczy stają do pracy organizacyjno-konspiracyjnej celem stworzenia Związku Walki Zbrojnej. Wchodzą do niego szerokie masy Piłsudczyków, byłych legionistów, peowiaków i wojskowych i tworzą oni w tym momencie niemal sto procent kadrów Polski podziemnej.

Było to rzeczą zrozumiałą: większość z nich miała za sobą pracę konspiracyjną z okresu przed r. 1914 i umiała żyć w warunkach przez nią stworzonych. Walka o niepodległość była rzeźbiarką młodości przeważnej ich części. W danej sytuacji do czynu pchała ich nadto wola uzupełnienia kampanii września nowym wysiłkiem i nową ofiarnością.

Przywództwo w pracy podziemnej Piłsudczyków trwało kilka tylko miesięcy. Rząd w Angers postanowił bowiem zmienić stan rzeczy w kraju i w ciągu pierwszej połowy r. 1940 decyzję tę przeprowadził. Niemał wszyscy organizatorzy Związku Walki Zbrojnej zostali usunięci z Komendy Głównej i z Komendy okręgu warszawskiego. Nie oznaczało to jednak oczy-

wiście wyeliminowania Piłsudczyków z akcji wojskowej. Sytuacja, jaka ukształtowała się na skutek posunięć rządu, ustabilizowała się na cały okres okupacji niemieckiej w sposób taki, iż doły organizacji wojskowej były stale w znacznym stopniu pod wpływem ideologicznym Piłsudczyków. To samo dotyczyło środowiska średniego oficerskiego. Natomiast kierownictwo Armii Krajowej przyjęło w całości płaszczyznę cztero-partyjnej „jedności narodowej“, jako rzekomego wyrazu postawy: „My żołnierze nie politykujemy“. W wyniku tego Piłsudczycy nie mieli właściwie nic do powiedzenia w istotnych sprawach wojska w Kraju, a zwłaszcza w kwestii sposobu jego użycia. Było tak zwłaszcza od chwili aresztowania gen. Stefana Roweckiego, które zbiegło się w czasie z objęciem Naczelnego Dowództwa przez gen. Sosnkowskiego.

Wynikiem pracy ściśle wojskowej Piłsudczyków było niezależnie od udziału ich w innych formacjach utworzenie trzech dywizyj Armii Krajowej. Żywą także niezmiernie była ich działalność na terenie Legionu Młodych i Związku Harcerstwa. Zorganizowana przez nich młodzież brała udział we wszystkich akcjach bojowych i wykazała wspaniałą postawę. Chłopcy z harcerskich hufców, powołanych do życia przez Piłsudczyków, stanowili część ekipy, która dokonała pierwszego większego uderzenia na ulicy Długiej. Wszyscy kolejni komendanci Legionu Młodych zginęli z ręki wroga; ostatni — Bolesław Pawłowicz — poległ w powstaniu warszawskim.

Po kapitulacji Francji, gdy nadzieje na szybkie wyzwolenie Kraju zawiodły, rozpoczął się na całym

terenie Rzeczypospolitej żywy ruch polityczny o charakterze konspiracyjnym, uzupełniający dotychczasową robotę ściśle wojskową. W ramach ogólnego ruchu oporu zajmują w nim Piłsudczycy jedno z miejsc najważniejszych. Powstają różne organizacje o najrozmaitszych nazwach jak Związek Obrony Rzeczypospolitej, Niepodległość, Unia, Odródnienie Polski itp. Grupy te wchodzą głęboko w teren i wyrażają z zasady swą działalność również za pośrednictwem prasy i wydawnictw podziemnych. Duża część zasługi w tym zakresie przypada w udziale Z. Hemplowi (Łukasz) i Julianowi Piaseckiemu.

Liczba i organizacyjna odrębność zrzeseń, zarówno Piłsudczyków jak i innych stronnictw, nie były bynajmniej przejawem braku ideologicznej spójności. Wynikały natomiast z istoty pracy konspiracyjnej z systemu tworzenia liczebnie ograniczonych komórek oraz z trudności utrzymania odpowiedniej łączności między poszczególnymi okręgami.

Od drugiej połowy r. 1941 odróżnić jednak można było w obozie Piłsudczyków pewne myślowe zróżnicowanie i samodzielność akcji. Na uboczu stanęła grupa, wypowiadająca się przeciwko krystalizacji obozu Piłsudczyków w formie jednolitej politycznej organizacji, a wydająca pismo „Polska Walczy”. Grupa druga dążyła systematycznie do konsolidacji ruchu Piłsudczyków i zrzeszywszy 16 grup terytorialnych, młodzieżowych oraz Związki Legionistów, Peowiaków i Strzelca, przybrała w początku roku 1942 nazwę: „Konwentu Organizacji Niepodległościowych”. Rzucała ona na rynek podziemny szereg periodycznych wydawnictw, jak „Myśl Państwowa”, „Droga”, „Tydzień”. Oparła swą działalność na deklaracji wybitnie demokratycznej i socjalnie dość radykalnej. Trzecią grupę utworzył mniej więcej w tym samym czasie po powrocie do Kraju Julian Piasecki pod nazwą „Obozu Polski Walczącej”. Była ona pod względem społecznym również radykalna, ale opowiadała się za rozwiązaniami, zapewniającymi życiu politycznemu większą stałość przez uwzględnienie pierwiastków systemu autorytatywnego. Poszczególne odcienie obozu Piłsudczyków w kraju zachowały jednak gotowość do współpracy dla wspólnych, a nadrzędnych celów, a kierownicy ich osobistą przyjaźnią. Doły wszystkich środowisk były przytem na zasadzie naczelnych wytycznych całkowicie jednolite, a o przynależności organizacyjnej decydował najczęściej — jak to zwykle w życiu konspiracyjnym bywa — przypadek i możliwość nawiązania takiego czy innego kontaktu. W tych warunkach dążności całkujące przejawiały się szybko i doprowadziły do powstania wspólnej Komisji Porozumiewawczej Obozu Polski Walczącej i Konwentu Organizacji Niepodległościowych jako dwóch organi-

zacji, działających specjalnie intensywnie i to w głównych ośrodkach kraju i w samej stolicy.

I przedtem jednak grupy obozu Piłsudczyków działały jednolicie we wszystkich najważniejszych zagadnieniach, stojących czy to przed społeczeństwem całym, czy to przed nimi samymi, jako przed przedstawicielami odrębnego ruchu politycznego. Wspólnie musiały przede wszystkim zająć stanowisko wobec ostracyzmu, jaki dotknął ich ze strony partii wchodzących w skład rządu. Zasadniczą odpowiedzią Piłsudczyków była gotowość przyjęcia zawsze i wszędzie dyskusji na tematy trzynastu lat, za które ponosili odpowiedzialność, z żądaniem jednakże, by w tej dyskusji zgodzono się uwzględnić obie pozycje księgi historycznej, to jest pozycje kredytu i debetu dokonanych poczynań i by lojalnie szukano salda. Taka bowiem tylko metoda jest celowa i słuszną dla obiektywnego ocenienia pewnego okresu historycznego.

Zachowując poczucie zbiorowej indywidualności, Piłsudczycy najdalej byli również od tego, by stwierdzenie popełnionych niedopatrzeń czy przejawień utożsamiać z potępieniem tego, w co się dotychczas wierzyło i co stanowi nadal podstawę myślenia oraz źródło czynu. Usunięcie od udziału w decyzji o sprawach publicznych uznawali Piłsudczycy za fakt może z punktu widzenia psychologii ludzkiej zrozumiały, lecz dla sprawy wspólnej szkodliwy ze względu na zaprzepaszczenie w ten sposób zasobu doświadczenia, jakie zdobyli w dotychczasowej pracy. Nie starali się jednak zabiegać o łaski, ani nawet o polityczne równouprawienie w formie uczestnictwa w kierownictwie, lecz podjęli działalność nawet w tych okolicznościach, które musiały być ich udziałem. A były one najtrudniejsze. Nie otrzymywali bowiem przez 6 lat żadnej pomocy materialnej ani technicznej ze strony oficjalnych czynników Polski Podziemnej. W tych tedy warunkach, prowadzili swą akcję wojskową i organizacyjną, w tych stworzyli 17 pism, stanowiących najpoważniejszą pozycję w prasie podziemnej, co stwierdzili niejednokrotnie przedstawiciele rządu w kraju, w tych stali zawsze i wszędzie w pierwszym szeregu zbiorowej akcji narodu. Tajemnicą ich twórczenia i działania było posiadanie konspiracyjnej drukarni, w której wychodziły pisma i broszury innych grup. W ten sposób zarabiali na wydawnictwa własne, w rozmiarach jednak oczywiście bardzo ograniczonych. To też pojęcie pensji nie istniało niemal w obozie Piłsudczyków za wyjątkiem szczebli techniki, gdzie pracownicy, poświęcający cały czas pracy i nie mający możliwości innego zarobkowania, otrzymywali t.zw. „zwrot kosztów”. Już jednak poświęcanie się łączników i łączniczek było zupełnie nieodpłatne i tem więcej bezprzykładne. Niestety jednak ofiarność

ta nie umniejszała w niczym większego niebezpieczeństwa, towarzyszącego pracy tego obozu. Piłsudczycy byli przez cały czas najwięcej narażeni, bo nie mając pieniędzy i z nich płynących pomocy, zwłaszcza większej ilości mieszkań oraz własnych środków komunikacyjnych, przedstawiali cel łatwiejszy i mieli największą liczbę wpadek, aresztowań i męczenników.

Jednolitym było również stanowisko wszystkich Piłsudczyków wobec naczelnych, konkretnych zagadnień politycznych całego okresu wojny, a stanowisko to wobec powagi ich pracy i oddźwięku, jaki znajdowało w szerokich kołach społeczeństwa, stworzyło w dużej mierze klimat moralny dla orientacji i poczynań kraju. Stojąc na gruncie ciągłości historycznej, oni to doprowadzili do pełnego wyrazu zasadę uznawania Głowy Państwa za czynnik decydujący stosownie do postanowień obowiązującej konstytucji. Oni to dali pierwsi właściwą ocenę paktu lipcowego z r. 1941, występując zarazem przeciwko formie i metodom rządowym, towarzyszącym jego podpisaniu. Oni to stworzyli przy pomocy trafnie orientujących się pewnych czynników t.zw. grupy rządowej atmosferę, w której zasadzki taktyki sowieckiej nie mogły wytworzyć dezorientacji i rozbicia kraju. Kraj wiedział, o co gra się toczy, i stał niezmiennie na stanowisku całości i rzeczywistej niepodległości Polski. Wszystko to jest faktem historycznym, na poparcie którego są dokumenty i akty, jak również wielu ludzi obiektywnych, którzy byli świadkami rozwoju wypadków i kształtowania się poglądów politycznych na miejscu.

W miarę rozwoju wojny niemiecko-rosyjskiej Piłsudczycy występowali wobec czynników politycznych i wojska niejednokrotnie z sugestiami, by w konflikcie obu tych państw zachować stanowisko ostrożne, ograniczając ze względu na prawdę sytuacji swoją działalność do aktów samobrony, mniejszych dywersyj i gospodarczego sabotażu. Wychodzili przytem z założenia, że krwią własnego narodu gospodarować należy oszczędnie i że w naszych warunkach i po doznanych stratach zachodzi potrzeba stosowania w pełni zasady ekonomii siły. W tym duchu składali władzom Polski Podziemnej memoriały jeszcze w lipcu 1944 r. Gdy jednak padły strzały powstańcze w stolicy, Piłsudczycy poszli do szeregów i spełnili obowiązek żołnierski.

Następstwa powstania były dla sytuacji wewnętrznej Kraju poważne. Zaczęły się rozłamy, wzajemne oskarżanie się, nacisk rozgoryczenia ze strony mas społeczeństwa i dotkliwy kryzys zaufania w stosunku do przywódców i istniejących organizacji. Piłsudczycy uznali, że zachodzi tem bardziej konieczność zjednoczenia wszystkich elementów żywotnych, jakimi naród rozporządza. Uznając, że należy zaczynać od sie-

bie i dać przykład zdolności do konsolidacji, przyspieszyli przebieg zjednoczenia w obrębie własnych szeregów i rozwiązali Konwent Organizacji Niepodległościowych oraz Obóz Polski Walczącej. W miejsce obu tych zrzeszeń powołali nowe jednolite. Deklaracja tego ugrupowania stała w pełni na gruncie ideologii demokratycznej i wyraźnie podkreśliła wagę problemów socjalnych i gospodarczych w duchu rozwoju i postępu. Za podstawę nowego życia uznała etykę chrześcijańską. W polityce zagranicznej wypowiedziała gotowość do współpracy także z Rosją pod warunkiem uznania niepodległości i integralności Rzeczypospolitej. Zajęcie pozycji środkowej w układzie ogólnopolitycznym nastąpiło po stronie Piłsudczyków w wyniku świadomego wyboru przy uwzględnieniu zarówno rdzennych właściwości reprezentowanego przez nich ruchu, jak celowości z punktu widzenia państwowego istnienia silnej grupy centrowej.

W tej tedy konstrukcji polityczno-organizacyjnej zastał Piłsudczyków styczeń 1945 r. Nowy okres okupacji całej Rzeczypospolitej przez wojska sowieckie stanął pod znakiem wyzyskiwania przez stronę zwycięską pięcioletniego zmęczenia społeczeństwa oraz rozczarowań w stosunku do Zachodu, pod znakiem cynicznej eksploatacji przez okupanta haseł narodowych, pod znakiem wreszcie rozbicia i niewiary we własne siły po stronie polskiej. W warunkach tych wykazali Piłsudczycy znaczną odporność, spokój w ocenie sytuacji, świadomość potrzeby zmiany środków odporu i sposobów oddziaływania. I w ich szeregach trafiały się indywidualne załamania, odstąpienia od sztandaru. Były one jednak naogół mniej liczne, niż w innych ugrupowaniach, a całość ruchu zachowała silną duchową postawę.

Czołowa w swem napięciu, we wpływie wywieranym na społeczeństwo, w wartości poszczególnych kierunków czynu, była akcja podziemna Piłsudczyków doby wojennej jednym wybuchem woli pracy na rzecz całego narodu oraz odbudowy niepodległego państwa. W tych zamknęła się ramach, nie podejmując żadnych prób szukania korzyści osobistych, czy grupowych. Przez to dała jeden z najwyższych przykładów czynnej postawy współczesnej Polski oraz ducha obywatelskiego. Przejdzie do historii z tymi właśnie znamionami, a już obecnie — choć w całości przemilczana przez oficjalne nasze czynniki emigracyjne, otoczona jest w Kraju głębokim szacunkiem i uznaniem.

Akcja ta opłacona została niezwykle dotkliwymi stratami. Byczyński, Halina Jaroszewiczowa, Jan Pohoski, Maria Rojanowska, Wojnar, rozstrzelani zostali już 21.VI. 1940 w Palmirach jednocześnie z Ratajem i Niedziałkowskim. 22.XI. 1941 r. uderzyło Gestapo w warszawską grupę. Rywalizacja między ośrodkiem

poznańskim i warszawskim Gestapo sprawiła jednak szczęśliwie, że Gestapo poznańskie przystąpiło samo do akcji i nie rozporządzając dostatecznymi siłami straciło szereg nocnych godzin. W ten sposób większość Piłsudczyków została ostrzeżona. Aresztowany Kazimierz Stamirowski nie odkrył niczego, tak, że organizacja nie straciła drukarni, ani żadnego lokalu. Męczony na Pawiaku Stamirowski otworzył sobie ży-

ły szkłem. Odratowany przez siepaczków zerwał opatrunek, doprowadził do gangreny, przeszedł amputację ręki i zmarł w Oświęcimiu.

Dalszymi ofiarami byli wśród czołowych przedstawicieli akcji podziemnej Piłsudczyków: Zygmunt Hempel, Mikołaj Kwaśniewski, Julian Piasecki, St. Perzyński, Krzysztof Siedlecki, poseł Starzak. Cześć ich Pamięci!

W KÓŁKO TO SAMO

Niedawno powstała w Londynie nowa instytucja pod nazwą „Rada Polskich Ugrupowań Politycznych“, w składzie przedstawiciele pięciu stronnictw: P.P.S., Str. Narodowego, Stronnictwa Pracy, Stronnictwa Ludowego „Wolność“ i Stronnictwa Demokratycznego. Niektóre z tych stronnictw podobno wydelegowały do tej Rady po czterech, inne po dwóch swych przedstawicieli, co zresztą nie jest tak bardzo ważne. Sądzić można, że zamiarem twórców nowopowstałej instytucji jest reprezentowanie polskiej opinii politycznej przez powołanie do życia jakiegoś surogatu dawnej Rady Narodowej, od dłuższego już czasu rozwiązanej, również zorganizowanej na zasadzie klucza partyjnego niemal tych samych, co obecnie partii politycznych.

Czy świeżo przez przywódców partyjnych wyłoniona Rada potrafi sobie zaskarbić zaufanie opinii publicznej? Czy tej opinii stanie się istotnym wyrazicielem? Jakie sobie stawia cele? Jakie metody pracy ma zamiar stosować? Krótko powiedziawszy — po co właściwie została stworzona?

Rozważmy tę sprawę bliżej.

W podstawie decyzji tkwi niewątpliwie myśl słuszna. Rząd — i to rząd nie uznawany formalnie przez znaczną ilość najpotężniejszych państw — musi się opierać na jakiejś instytucji, stanowiącej — wobec braku parlamentu — bodaj namiastkę przedstawicielstwa narodu, a opinia publiczna musi mieć na zdrowych podstawach opartą reprezentację o niewątpliwym autorytecie. Instytucja ta winna mieć możliwość swobodnej dyskusji w sprawach państwowych, winna się ustosunkowywać do polityki rządowej, aprobować jej słuszne posunięcia, krytykować nieuniknione zawsze, a tembardziej w czasach tak trudnych, jak obecne, błędy i niedociągnięcia, stanowić dla decyzji rządowych ciało doradcze, wreszcie w chwilach krytycznych zabierać głos na forum międzynarodowym, głos tak poważny i istotny, aby uczciwa zagraniczna opinia publiczna nie mogła łatwo przejść nad nim do porządku dziennego.

Aby te wszystkie zadania mogły być wypełnione, rzeczą absolutnie niezbędną jest: 1) wysokie kwalifikacje intelektualne i moralne członków takiego zespołu, 2) szeroki wachlarz istniejących kierunków politycznych tak, aby ciało to uwzględniało wszystkie bez wyjątku odłamy polskiej myśli państwowej, 3) znacznie większa liczba członków takiej Rady, nie ograniczana tylko do tych, co przypadkowo znajdują się na gruncie angielskim, ale uwzględniająca także nazwiska wybitniejszych ludzi z innych terenów emigracyjnych, 4) udział mniejszości narodowych, stojących na polskim stanowisku państwowym, a więc Ukraińców, Białorusinów i Żydów, 5) poważny odsetek ludzi bezpartyjnych, którzy napewno reprezentują olbrzymią większość naszej emigracji, a nie są ani gorszymi, ani głębszymi Polakami, niż zacietrzewieni w sporach partyjnych ludzie stronnictw, 6) udział ludzi znanych na terenie międzynarodowym lub posiadających rozległe doświadczenie w pracy państwowej, przyczem stwierdzić trzeba, że jednych i drugich i to wybitnej jakości, mamy na uchodźctwie dość dużo (uczni, pisarze, artyści, parlamentarzyści, wojskowi itd.), 7) wreszcie udział przedstawicieli ważniejszych instytucji społecznych, związków i stowarzyszeń, mogących się wykazać niejednokrotnie wysoce wartościową pracą obywatelsko-organizacyjną wśród mas uchodźczych i cieszących się zaufaniem swych środowisk.

Jest rzeczą dziwną, rzeczą dla normalnie rozsądnego człowieka zgoła niezrozumiałą, dlaczego na powyższych, zdawałoby się, bezspornych podstawach od początku, od jesieni 1939 r. nie została powołana do życia Rada Narodowa. Czyż trzeba przypominać, jak niepełne, jak ułamkowe, jak niereprezentacyjne były obie rozwiązane Rady Narodowe? Ileż liczyły w swym łonie nazwisk nic nikomu nie mówiących, jak słaby był ich poziom intelektualny, jak puste, nudne i nieistotne były ich debaty? O ile jeszcze pierwsza Rada Narodowa zdobywała się na akcenty swobodnej krytyki w stosunku do rządu Sikorskiego (za co została rozwiązana),

to druga stanowiła znacznie gorszą edycję pierwszej i wydała najwięcej notorycznych zdrajców ze swego łona. Podstawą rekrutacyjną obu była przynależność partyjna. Doświadczenie w bardzo bolesny sposób wykazało, jak bardzo ta podstawa okazała się zawodną. Rezultat był taki, że autorytet Rady w społeczeństwie polskim był żaden, że na gruncie międzynarodowym Rada wogóle nie grała, że przeto była instytucją, która swych ważnych zadań wypełnić nie umiała.

I oto dziś, w słusznym zrozumieniu, że trzeba znaleźć jakiś wyraz państwowo myślącej opinii publicznej organizuje się nową instytucję tego rodzaju.

Organizuje się ją na podstawach jeszcze węższych, niż obie Rady poprzednie. Na węższych, gdyż w międzyczasie szereg stronnictw, na których te Rady były oparte, uległ wewnętrznemu rozłamowi, a niektóre z nich utraciły swoje najbardziej reprezentatywne postaci, przez uprzednie rządy — bo nie przez społeczeństwo — podniesione do roli przywódców kierunków politycznych. Wszakże tacy ludzie, jak Grabski, Stańczyk, Mikołajczyk, Strassburger, Kot, Popiel, Szerer — to wszystko kreatury gen. Sikorskiego i nie kogo innego jak właśnie rządów tych samych partii, które dziś tworzą nowopowstałą instytucję.

Jaką rolę może w tych warunkach odegrać ten zespół desygnatów partyjnych? Założmy — co zapewne będzie odpowiadało rzeczywistości —, że będą to sami przyzwoici, uczciwi ludzie, mandat ich jednak wobec zagranicy będzie zawsze do zakwestionowania skoro istnieją firmy polityczne, uznane przez bierutowców w kraju, o tych samych, lub prawie tych samych nazwach. Może naprawdę trudno wymagać od przeciętnego Anglika, aby umiał rozstrzygnąć, kto jest autentyczniejszym socjalistą: tow. Pragier i Kwapiński, czy Żułaski i Stańczyk, kto lepszym polskim chłopem: p. Nagórski i Kuncewicz, czy Mikołajczyk i Kot, kto bardziej prawowiernym chadkiem: p. Sopicki czy p. Popiel, kto głębiej czującym narodowcem: p. Bielecki i prof. Folkierski, czy też p. Grabski i prof. Winiarski, kto uczciwszym demokratą: ob. Filipowicz i Olszewski, czy Szerer i Górka?

Niektóre z tych nazwisk nawet przeciętnemu Polakowi mówią niezbyt wiele — cóż dopiero Anglikowi lub Amerykaninowi.

Po rozłamach partyjnych, które miały ostatnio miejsce — mandat partyjny jest wątpliwą legitymacją wobec opinii publicznej świata.

Czy lista pięciu organizacji politycznych, tworzących Komitet wyczerpuje cały polski wachlarz polityczny? Nie! Na uboczu pozostała niedawno utworzona organizacja pod nazwą „Niepodległość i Demokracja“ oraz Piłsudzcy.

„Niepodległość i Demokracja“ ma nie mniejsze pra-

wa do życia i reprezentacji, jak równie świeżo założone Polskie Stronnictwo Ludowe „Wolność“, a Piłsudzcy stanowią środowisko zbyt poważne ilościowo i jakościowo, zarówno w kraju, jak i na uchodźctwie, aby instytucja bez nich powstała mogła mieć ogólnonarodowy charakter.

Czytelnik zauważy, że z tego, cośmy wyżej powiedzieli wynika, że nawet w wypadku, gdyby Piłsudzcy w komitecie byli reprezentowani na równi z innymi ugrupowaniami politycznymi, nie moglibyśmy widzieć w takim zespole ciała, któreby było w stanie pretendować do politycznego rządu dusz narodu polskiego. Stałiśmy i stoimy nadal na stanowisku, że klucz partyjny w czasach obecnych najmniej się nadaje do reprezentowania polskiej myśli państwowej, że rezultaty stosowania takiego klucza muszą być żałosne, co rzeczywistość, niestety, w zupełności potwierdziła i, że w czasach dzisiejszych istnieją pewniejsze, zdrowsze i bezpośredniości drogi organizowania opinii publicznej, niż za pośrednictwem partyjnego rozdzielnika mandatów.

Pięciopartyjny Komitet nie posiada w swym łonie przedstawicieli mniejszości narodowych, nie są w nim reprezentowane instytucje społeczne, brak wybitnych pracowników kultury polskiej, brak elementów bezpartyjnych, stanowiących olbrzymią większość społeczeństwa polskiego.

W tych warunkach jest rzeczą oczywistą, że Komitet nie ma najmniejszych danych, aby stać się instytucją kierowniczą, zyskać uznanie i wystarczający moralny autorytet w polskiej opinii publicznej, a przez to samo nie będzie mógł wypełnić swych zadań.

Może się przydać rządowi, który będzie mógł przezeń składać memoriały tam, gdzie sam rząd nie mógłby tego zrobić — to miało już miejsce z memoriałem do O.Z.N. Ale może także rządowi przeszkadzać, gdy zechce — co jest zawsze możliwe i prawdopodobne — dublować czynności rządowe, jako instytucja o bardzo analogicznym składzie i bardzo nieokreślonych zadaniach, a więc w braku lepszego zajęcia skłonna do wywierania kontroli nad pracą rządu, do której to kontroli potrzebnego autorytetu nie posiada. Ta ostatnia możliwość jest niebezpieczna i musi być przez Rząd brana pod uwagę, gdyż niema nic gorszego, jak wtrącanie się do pracy rządowej przez czynniki nieodpowiedzialne.

Jeśli wszystko powyższe jest słuszne — a w naszym przekonaniu tak jest niezawodnie, — to narzuca się pytanie, gdzie jest źródło tych od początku złych, szkodliwych, ciasnych decyzji, z których każda wzdaje się być ucieczką od jedynie zdrowego, jedynie sensownego rozwiązania zagadnienia dobrze zbudowanego przedstawicielstwa Polski Walczącej.

Zdaje się, że źródło to tkwi w nie najbardziej pięknej stronie natury polskiej: w tchórzostwie przed odpowiedzialnością. Utworzono rządy wybitnie partyjne — bo takimi były rządy Sikorskiego i Mikołajczyka — i obawiano się postawić je przed ciałem, któreby było zbudowane na innych, niż te same partie podstawach, rozumując słusznie, że kruk krukowi oka nie wykole, — gdy krytyka ze strony szerszego zespołu mogłaby być kłopotliwa i nieprzyjemna.

W rzeczowej krytyce niezależnych czynników dopatrywano się niemal zdrady narodowej i tępieno te czynniki metodami, o których przystojniej będzie nie pisać.

Ta zła praktyka obu poprzednich Rządów obowiązuje widocznie nadal, jako smutna tradycja prze-

szości.

Możnaby raz już skończyć zarówno z tymi metodami, jak i z próbami konstruowania kadłubowych zespołów, nie mogących być wyrazem opinii publicznej, nie reprezentujących nic innego, jak słabe, nieliczne a dziś rozbite ugrupowania partyjne.

Czas byłoby zrozumieć, że ta zabawa w partie polityczne w dzisiejszych warunkach jest rzeczą niepoważną i śmieszną — gorzej — zdecydowanie szkodliwą. Mamy czasy bardzo ciężkie, wymagające jednolitości i zwartości całego narodu. Nie wolno powtarzać dawnych błędów. Polska jest wielką rzeczą i w ramach kilku rządów partyjnych na uchodźctwie zmieścić się nie może.

J. Jędrzejewicz.

WYBORY W SOWIETACH

Zacznijmy od cyfr. Centralny Komitet Wyborczy w Sowietach twierdzi w swoim urzędowym sprawozdaniu, że ogólna liczba uprawnionych do głosowania wynosiła 101.717.686 osób. Z liczby tej udział w głosowaniu wzięło 101.450.936 osób — a więc 99,7%. Za kandydatami „bloku WKP (b) z bezpartyjnymi“ głosowało: do Rady Związku — 99,18%, a do Rady Narodowości — 99,16%. Przeciwno: odpowiednio 819.699 i 818.952 osób, czyli po 0,81%

Z dalszych danych wspomnianego komitetu wyborczego wynika, że ilość osób uprawnionych do głosowania w poszczególnych republikach związkowych wyglądała następująco (podajemy z minimalnym zaokrągleniem do tysięcy):

RSFSR	56.851,0	Tadżykia	725,0
Ukraina	20.616,0	Kazachstan	3.302,0
Białoruś	4.043,0	Kirgizja	781,0
Azerbejdżan	1.420,0	Rep. Karelo-Fińska	210,0
Gruzja	1.941,0	Moldawia	1.295,0
Armenia	644,0	Litwa	1.379,0
Turkmenia	623,0	Łotwa	1.248,0
Uzbekistan	3.107,0	Estonia	771,0

Reszta głosowała w tak zwanych „okręgach specjalnych“. Obejmowały one tych wszystkich uprawnionych do głosowania, którzy znajdują się poza obrębem granic ZSRR. A więc wojska okupacyjne sowieckie, misje zagraniczne wszelkiego rodzaju, funkcjonariuszy kolejowych w Mandżurii, załogi okrętów itp.

Dokładnej cyfry uprawnionych do głosowania w tych okręgach komitet wyborczy nie podaje. Stwierdza tylko, że na kandydatów „bloku WKP(b) z bezpartyjnymi“ padło tam 99,46% głosów „wyborców.“

* * *

Przede wszystkim dwie konstatacje, które napraszają się same przy rzuceniu okiem już na wyżej podane cyfry:

1. Z podliczenia uprawnionych do głosowania w republikach — a więc znajdujących się niejako na miejscu, wynika, że na okręgi „specjalne“, licząc w okrągłych cyfrach, przy-

pada 2 i pół miliona wyborców. Jeśli od tego, w sposób najbardziej dla Sowietów przychylny, odliczyć misje zagraniczne, załogi okrętów, znajdujących się poza sowieckimi portami, funkcjonariuszy kolejowych w Chinach (Mandżuria) i trochę cywilów w tamtejszych portach — wyniknie jasno, że armie okupacyjne sowieckie — a więc armie znajdujące się poza granicami ZSRR (Niemcy, Europa Środkowa, Finlandia, Azerbejdżan perski, Mandżuria), wynoszą przeszło 2 miliony żołnierza. Inaczej mówiąc, tak olbrzymie siły usadowione są tylko na przedpolu ZSRR. To nieodparcie wynika z cyfr, podanych przez Centralny Komitet Wyborczy ZSRR.

2. Nie oddało swoich głosów w ogóle tylko jakieś 300 tysięcy wyborców, co stanowi znikomą odsetek, bowiem zaledwie trzy promil ogólnej liczby uprawnionych do głosowania.

Przypomnijmy sobie, że owe trzy promil rozsiane jest na przestrzeni jakichś 25 milionów klm. kw. Dzieje się to wszystko podczas rosyjskiej zimy, w czasie której dojazd do punktów, gdzie należy składać głosy, jest często niemożliwy, a w każdym razie niebywale utrudniony dla osób bardzo zdrowych, nie mówiąc już o trochę choćby słabych. Szpitale, ciężkie choroby, operacje, wyjazdy itp. wszystko to się jakoś nie liczy. Wszystko niejako na przestrzeni 25 milionów klm. kw. stanęło w miejscu, wszystko zamarło i odbywał się tylko spontaniczny ruch, pokonywujący wszystkie przeszkody na drogach do urn wyborczych. Nawet więźniowie, a przecież nie wszyscy skazani są z pozbawieniem praw, spontanicznie i niesłuchanie chętnie oddawali głosy na „blok partii z bezpartyjnymi“. A każdy wie przecież, że więźniów jest bardzo dużo.

Organizacja, która każdemu na czas i w każdym w miejscu podstawiała urnę do oddania głosu, zaiste imponująca! Tylko nigdy nie należy przesadzać. Organizacja imponuje tak olbrzymio, że aż śmieszy. Przecież te 99,7%, biorących udział w głosowaniu, przecież te 101 przeszło milionów ludzi maszerujących tak karnie do urn, by rzucić swój głos, któ-

ry w dodatku nic nie waży — absolutnie nic — wcale nie jest mniej śmieszne niż gdy by komitet wyborczy powiedział 120%. Wymowa jest napewno ta sama.

* * *

A teraz trochę o samej technice wyborczej. Jest ona naogół znana. Sądźmy jednak, że nie wadzi cokolwiek z niej jeszcze raz przypomnieć. Tym bardziej, że zdawało się, iż ZSSR, który aż nadrywa się od krzyku na cały świat, że właśnie u niego panuje „najlepsza demokracja” — ta jakaś demokracja „wyższego rzędu” wobec której, jak to z pewnością siebie godną napewno lepszej sprawy twierdził Kalinin — „demokracje Zachodu są tylko pseudo-demokracjami” — zdawało się, powtarzamy, że ZSRR zrobi parę jakichś tricków, które by tej demokratyzacji stosunków choćby na oko doprowadzić miały. Nic podobnego. Wszystko odbyło się według ustalonych szematów, które na głowę pobily największe w tej dziedzinie „zdobycze” i osiągnięcia faszystwu niemieckiego czy włoskiego.

Z przebiegu i wyników wyborów wynika jasno, że Kreml stworzył system, w którym „demokracja sowiecka” wyraża się w takim zamordyzmie, że przy nim błędą najbardziej jaskrawe i najbardziej wynaturzone chwytły wszelkich totalizmów.

Technika i wyniki wyborów, mające dowodzić wspaniałości systemu sowieckiego dowodzą przede wszystkim tego, że „demokracja sowiecka” jest czymś więcej niż totalizmem, jest bowiem hypertotalna.

Konstytucja sowiecka mówi, że wybory w Sowietach są powszechne, równe, bezpośrednie i tajne.

Jak te piękne słowa stosowane są w praktyce?

Każdy okręg wyborczy (do Rady Związku — okręgiem jest obszar obejmujący 300 tysięcy ludności — granice republik związkowych nie odgrywają tutaj żadnej roli. Okręgi tworzone są bez względu na linie graniczne. W wyborach do Rady Związku ZSRR traktowane jest, jako totalna całość) — wystawia kandydata.

Tylko jednego kandydata. Jak zaś to ostatnio mówi się w ZSRR — kandydata bloku partii z bezpartyjnymi.

Czy mogą bezpartyjni wystawić kandydata sami? Nie. Nakazem jest blok bezpartyjnych z partią. Czy może powstać jakaś inna partia, która by bądź wystawiła kandydata samodzielnie, bądź właśnie w bloku z bezpartyjnymi? Nie. Gdyż, jak stwierdził Stalın — a to jest dopiero święte i niezachwiane, jako nakaz — w Sowietach istnieją warunki takie, że z góry przesadzają możliwość istnienia i działania tylko jednej partii — a mianowicie WKP (b): Wszzechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Tę monopartyjność systemu potwierdza stanowczo konstytucja sowiecka w artykule 126.

Któż więc blokowi bezpartyjnych z WKP (b) wyznacza kandydatów? Właśnie tylko i wyłącznie partia, bo jak mówi nawet konstytucja partia komunistyczna jest kierowniczą komórką wszystkich organizacji społecznych i państwowych.

Czy w dodatku istnieje w Sowietach, choćby na czas wyborów organizacja o której szumnie się mówi „blok partii z bezpartyjnymi”? Czy istnieją jakieś władze kierownicze bloku? Czy istnieją jakieś wydawnictwa „bloku”, w których by wypowiedzi bezpartyjnych znalazły swój wyraz? Nie. Istnieje tylko jedna organizacja: partii komunistycznej, istnieją tylko te same gazety, i periodyki, które wszystkie są komunistyczne i pozostające pod nadzorem partii, kierującej wszystkim.

T.zw. „blok” nie jest żadną organizacją. „Blok” przejawia się dopiero wtedy, gdy do urn śpieszą obywatele sowieccy i głosują na kandydatów wysuniętych i narzuconych przez bolszewików, którzy jak partia komunistyczna stanowią jedyną organizację w ZSRR, nadrzędną nie tylko nad rozproszonymi bezpartyjnymi, ale i nad całym państwowym aparatem.

Ktośby powiedział, że komitety wyborcze stanowią może namiastkę organizacji „bloku bezpartyjnych z komunistami”. Nic podobnego. Komitety wyborcze są od czuwania nad przebiegiem najważniejszego aktu wyborczego, jakim w prawdziwych demokracjach jest głosowanie. Komitety nie są od organizowania samej akcji wyborczej. Czuwają one nad właściwym sporządzeniem list uprawnionych do głosowania, zabiegają, aby nie było przy tym nadużyć i dyskryminacji. Wreszcie baczą, aby sam akt głosowania przebiegł prawidłowo i bez nadużyć.

Rola ich w demokracjach prawdziwych jest bardzo ważna. Bowiern i sam akt głosowania w tych demokracjach jest szczególnie ważny. Najważniejszy w całej technice wyborczej. Aktem tym wyborcy dają właśnie wyraz na kogo głosują i kogo z pośród wielu przedstawionych kandydatów wybierają.

Jest to szczególnie ważne w odniesieniu do Sowietów, gdzie fałszywie i poprostu oszukańczo akt przebiegającego tam głosowania nazywa się wyborami. Przykładowo biorąc, może się odbyć głosowanie a nie będzie wyboru i odwrotnie, może się dokonać wybór, przy którym głosowanie jest zupełnie zbędne, bowiern ono nic zmienić nie może i nic zmienić nie zdoła.

Na podstępny zaś żonglowaniu pojęciami: głosowanie i wybory, na podstawianiu jednego pod drugie, polegają zasadnicze i o wszystkim decydujące oszustwo „demokracji” sowieckiej.

Ponieważ partia i jedynie partia komunistyczna stanowi zwartą, zdyscyplinowaną organizację, w której rękach w dodatku znajduje się bezapelacyjnie cały aparat państwowy, tedy ona wystawia kandydatów. A bezpartyjni mogą się co najwyżej na nich zgodzić.

Mimo to nawet ten jednopartyjny, choć pono najbardziej demokratyczny na świecie, reżim sowiecki, jeszcze się boi swoich poddanych. Boi się po bezmała trzydziestu latach trwania i zwycięstwach podczas ostatniej wojny, co zresztą bardzo gwałtownie dyskontuje w kierunku próbowania wmówienia w ludzi podsowieckich i w cały świat, że zwycięstwa te mają dowodzić wartości tego ustroju.

Kardynalnym objawem tego strachu jest niedopuszczanie do jakiegokolwiek dyskusji — nawet między swoimi, — stąd partia w każdym okręgu wyznacza tylko jednego kandydata. Nie zdarzyło się jeszcze ani razu, w żadnym okręgu, aby do dnia głosowania utrzymało się czy stanęło do rywalizacji choćby dwóch kandydatów. Zawsze w dniu głosowania jest tylko jeden. Partia nie dopuszcza do żadnej rywalizacji. Partia boi się tej rywalizacji.

W tych warunkach przychodzi dzień głosowania. Ale przecież każdy widzi, że wybory odbyły się dużo dawniej.

Czy głosowanie jest tutaj potrzebne? Napewno nie. Oczywiście z punktu widzenia wyborów, czy wyboru. Natomiast nadtotalnie demokratycznemu reżimowi sowieckiemu wybory są potrzebne, aby ich śmiesznymi wynikami oglupiać swoich obywateli, że niby to oni coś znaczą, bo mogą (ba, muszą rzucić) kartkę do urny, i, aby tym samym oglupiać

zagranicę, że wybory się odbyły. Tymczasem odbyło się tylko głosowanie.

Skutek zaś byłby ten sam, gdyby NKWD, zamiast chodzić po domach i wypędzać ludzi do głosowania, sprawdzało tylko czy wszyscy biją oklaski. Potem możnaby na cały świat ogłosić, że zostało dokładnie sprawdzone, że wszyscy uprawnieni do głosowania — od Władystoku do Berlina, od terenów za kołem polarnym do okupowanego Azerbejdżanu — bili frenetyczne oklaski, przyjmując w drodze entuzjastycznej aklamacji kandydatów „bloku wyborczego partii komunistycznej z bezpartyjnymi”.

Sprawa polega na tym, że trudniej byłoby wmówić w świat, że to jest „demokracja” i że wszyscy są entuzjastami reżimu Stalina.

Natomiast żadnej zmiany faktycznej w Sowietach by to nie spowodowało. Sowieckie bowiem głosowanie nie ma nic wspólnego z wyborami. Jest zwyczajną aklamacją, która właśnie jest największym oszustwem wtedy, gdy odbywa się tajnie.

Tajnym jest więc głosowanie. Wybory, które dokonały się już przed tym i których to głosowanie ani na jotę zmienić nie może, są jawne i odbywają się pod groźnym nadzorem partii komunistycznej i takich organów państwowych, jak NKWD. Proszę w tych warunkach nie zgodzić się na kandydata wysuniętego przez partię. Wysuniętego jawnie — i faktycznie jawnie przez posłuszną aklamację zebranych na tym czy innym, zawsze przymusowym meetingu i przez aklamację wybranego.

Potem już głosowanie najbardziej nawet tajne może się odbywać na zasadach powszechności, bezpośredniości i największej równości wobec zastosowanego teroru.

Jest jeszcze jeden moment, który wielu spędza sen z powiek. Przecież korzystając z tajności głosowania, można przynajmniej głosować przeciw. I właśnie, jak tego dowodzi sprawozdanie centralnego komitetu wyborczego, znalazło się trochę takich, którzy nie głosowali za listą „bloku partii z bezpartyjnymi”. Czy głosowali przeciw, czy też głosy ich z jakichś względów uznano za nieważne — nie wiadomo. Przypuśćmy jednak, że wszyscy oni głosowali przeciw. Ba, idźmy dalej. Przypuśćmy, że 90% wyborców głosowałoby przeciw.

Czy zmieniłoby to cokolwiek w „demokratycznej” rzeczywistości sowieckiej?

Otóż ani konstytucja sowiecka, ani t.zw. ordynacja wyborcza w żadnym miejscu nie ustala, ile to, jaki procent głosów danego okręgu winien kandydat otrzymać, aby zostać wybranym — nieposłanym do Rady Najwyższej (Rady Związku czy Rady Narodowości), jako istotny reprezentant danego okręgu. Stąd prosty wniosek, że liczba oddanych nań głosów nie ma żadnego znaczenia. Choćby padła nań mniej niż połowa głosów on do Rady pojedzie i tam będzie reprezentował. Co? Wolę partii, bo przecież nic więcej.

W głosowaniu więc nie ma ani wyboru, ani też nie ma waży liczba otrzymanych głosów. Wybory definitywne odbyły się już przedtem z nakazu partii komunistycznej i nic ich zmienić nie zdoła.

Aparat partyjny i aparat państwa sowieckiego jest tak pewny siebie, że ani konstytucja ani ordynacja wyborcza nie dają najmniejszych bodaj możliwości zmiany przy pomocy czysto mechanicznego głosowania wyborów dokonanych przez partię. Tutaj poprzez to oszustwo wyborów sowieckich, najlepiej wygląda hipertotalne oblicze reżimu stalinowskiego.

Tutaj też najlepiej widać, że reżim ten, mimo wszelkie fabrykowane w ten lub inny sposób cyfry głosujących (nie wybierających) — trzyma się tylko siłą i oszustwem.

Jeśli przy samej technice wyborczej, która w Sowietach osiągnęła aż 100% głosujących (nie wybierających) zatrzymaliśmy się dłużej, zrobiliśmy to dlatego, że właśnie te same praktyki i ten sam hipertotalny reżim pragnie Związek Sowiecki narzucić wszystkim narodom i państwom, które znalazły się w zasięgu jego sfery wpływów.

Wybory w Jugosławii odbyły się jawnie. Ustawiono bowiem w każdej komisji wyborczej dwie urny. Do jednej oddawać mieli głosy ci, którzy głosowali za listą „bloku” rządowego. Do drugiej, ci, którzy byli przeciw tej liście. Wyborca wchodził do lokalu komisji wyborczej. Tam podawany był naturalnemu w tych wypadkach legitymowaniu i sprawdzaniu. Następnie otrzymywał kulkę gumową (sic!), którą na oczach całej komisji mógł rzucić do jednej z dwu urn.

Reżim Tito jest znany. Nie ustępuje on w niczym reżimowi NKWD. Trzeba było nie lada odwagi, aby głosować przeciw temu reżimowi. Był to wybór niewątpliwie ale wybór nie między kandydatami, lecz między wolnością a więzieniem, między względnym spokojem a prześladowaniem.

W Bułgarii na placu wyborczym była tylko jedna lista: bloku rządowego. Zrozumiałe więc, że wyborów nie było. Było tylko nic nie mogące zmienić głosowanie.

W Czechach głosowanie odbyło się przez aklamację. Bez kulek, bez kartek, bez urn wyborczych i tym podobnych oszukańczych dekoracji. Lista również była przedtem ustalona i uzgodniona między partiami bloku wyborczego.

W Polsce pragnie się zastosować system sowiecko-bułgarski.

Ma powstać z góry jeden „blok” wyborczy. On ustali z góry listę kandydatów — jedyną. A potem wyborcy mogą spontanicznie — no, przecież nie wybierać — a tylko głosować. Cała zaś sztuka Ministerstwa Bezpieczeństwa i jego zbrojnej milicji polegać będzie na tym, aby jak największą ilość uprawnionych do głosowania zapędzić do odhycia tej mechanicznej czynności. A jeśli się nie zapędzi? To podobnie jak i w Sowietach nie to w rzeczywistości polskiej nie zmieni. Zostaną wybrani kandydaci bloku międzypartyjnego. Komitet wyborczy zaś ogłosi pięknie fryzowane — jak w Sowietach — sprawozdanie bacząc tylko na to, aby liczba osób która jego zdaniem wzięła udział w głosowaniu nie przekroczyła 100%. Jak w Sowietach.

Demokracja. A treścią jej jest nieustanie i nieprzebierające w środkach oszustwo, poparte siłą. Zar.

„DEMOKRACJA” W NAJWYŻSZYM SOWIECIE.

Popularny tygodnik palestyński „The Middle East Times” podaje w numerze 7-ym z dnia 21 lutego 1946, ciekawą statystykę odnośnie reprezentacji w Najwyższym Sowiecie Z.S.R.R., liczącym 800 członków.

Komisarze ludowi i urzędnicy partii komunistycznej	396 — (51,5%)
Inteligencja (nauczyciele, lekarze, i.t.p.)	96 — (12,5%)
Kierownicy kolchozów	68 — (9,0%)
Majstrowie, technicy, brygadowcy	60 — (7,5%)
Robotnicy	47 — (6,0%)
Dyrektorzy fabryk	39 — (5,0%)
Kolchoźnicy	30 — (4,0%)

Oficerowie	29
Szeregowi	1
Inne zawody	8

Prszło 50% ludności Sowietów to chłopi. Reprezentowani są oni bardzo nieproporcjonalnie, zaledwie czteroma procen-

tami. Robotnicy znajdują się w podobnym położeniu. Mają zaledwie sześć procent. Dysproporcja między oficerami a szeregowymi mówi również sama za siebie.

Sowietami rządzi elita partyjna, zajmująca wysokie stanowiska, co jest rażącym zaprzeczeniem demokracji tego „raju na ziemi“.

MIĘDZYMORZE

Artykuł poniżej zamieszczony otrzymaliśmy z Londynu, od jednego z wybitniejszych polityków słowackich na emigracji, współpracującego czynnie z innymi przedstawicielami na-

rodów Miedzymorza, nad wcieleniem w życie koncepcji federacyjnej. Ze względu na małe różnice między językiem polskim a słowackim, zamieszczamy go w oryginale.

Red

SLOVENSKO A ATOMOVÁ BOMBA

Svatý Otec dal dobrú radu tým, ktorí v hladkých frázach hovoria o „pokoji“, ktorý nám nastal. I predtým im často dával rady o rozsiahlom probléme medzinárodných vzťahov. Často predtým ignorovali jeho radu. Či možno očakávať, že výhľady sa zlepšia teraz, keď rok 1946 otvára svoje brány?

Náhodou jestvuje dôvod, ktorý nám dáva takúto nádej, hoci zátvrdlivý realista bude len krútiť krkom na znak protirečenia. Nech si len protirečí. Nech len všetky hrúzy parádujú v slávnostom šiku. Nech sa k nim pridruží i komédia „súdu“, ktorá sa s mesiaca na mesiac prefaňuje v Norimberku, kde do kúta zatísnutých banditov, miesto aby ich krátkou cestou zastrelili, podrobujú pred zastrelením rafinovanej forme dlho prefaňovaných ukrutností: nuž a predsa vieme, že hlavný hriech, z ktorého sú obvinení, je ukrutnosť. Nech aj ostatné hrúzy dneška šarapatia vo svete. Jednak nádej v rok 1946 pretrváva a prevyšuje ich všetky; pretože z milostivého riadenia Božieho stalo sa niečo, čo od základov mení všetky do terajšie medzinárodné vzťahy.

Najlepšie to azda možno ilustrovať terajším prípadom Slovenska, ktorý zahrnuje v sebe všetky druhy a spôsoby hrúzy, ale ktorý zároveň neomylnne naznačuje jestvovanie novej sankcie proti takýmto hrúzam, ktorú postupne uvidíme aplikovať aj na všetky ostatné podobné prípady.

Náhodou naša stará Európa symbolizuje núzdu celého sveta, tak ako tá istá Európa bola od samého svitu našej blúdiacej kresťanskej civilizácie žriedlom a studnicou svetových záležitostí. Na európskom kontinente stará civilizácia do značnej miery prestala fungovať. Typická devastácia, ktorá dnes prevláda na Slovensku, hoci horšia, než v ktorejkoľvek inej krajine nemá len miestny význam alebo záujem.

Predovšetkým, aký je dnes život na Slovensku? Doprava, palivo a pohonné látky, potraviny, lieky a peniaze sú tam dnes len spomienkou minulosti. Ľudia tam hrdlačia najprimitívnejším spôsobom, pretľkajú sa, ako vedľa, ale mnohí umierajú (pravda, bez pomoci lekára alebo kňaza) a očakáva sa, že ešte oveľa viac ich umrie, do jari. Dezorganizované ruské vojská šarapatia po vidieku, a hoci berú obyvateľstvu všetko, čo sa dá (hoci toho už veru niet veľa) pretože krajina bola už orabovaná skoro do hola), aj ony žijú, možno povedať, len z ruky do úst. Soberú niekomu na príklad kravu, ale nemajú takých vecí, ako je poľná kuchyňa, kde by si ju uvarili. Niet koní, ktoré by doviezly drevo z lesa, niet nástrojov, ktorými by bolo možno rúbať drevo.

V Petržalke, ktorá leží na druhej strane Dunaja, naproti Bratislave, umiera, podľa spoľahlivého cestovateľa, ktorý sa práve vrátil zo Slovenska, od hladu denne dvasať ľudí. Ak U.N.R.R.A. pošle nejaké zásoby, jej konvoje sú vyplundrované na ceste prv než prídu na miesto určenia. Práve spomenutý cestovateľ bol na medzinárodnom študentskom kongrese v Prahe dňa 17. novembra minulého roku, a potom, s neobyčajnou ovdahou, rozhodol sa preniknúť s jedného konca Slovenska, od Bratislavy, až na druhý, za Košice. Živil sa skoro zázračne kúskami čierneho chleba, ktorý mu dali v sedliackych domoch, kde ešte stihli schovať a hlboko do zeme zakopať trochu obilia. Podľa jeho výpočtov len každý sedemnásty z konvojov UNRRA dojde na Slovensko, a privezené zásoby sú žalostne nepatrné na zmiernenie biedy.

Obyvateľstvo chodí akoby omráčené, bez smyslov, také je zmučené úžasnou biedou.

Žiadon diplomat by Vám nevedel povedať, aké je dnešné postavenie Slovenska ako krajiny. Teoreticky

ono spada pod jurisdikciu centrálnej československej vlády v Prahe, ale skutočná kontrola tejto vlády rozprestiera sa iba na územie Čiech a Moravy. Čech vlastne ani neprekročí hranice Slovenska, kde akúkoľvek rozpoznateľnú vládnú moc vykonáva, a to chaotickým a ukrutným spôsobom, tak zvaná Slovenská národná rada, ovládaná komunistami, za ktorými stoja Rusi. Je tam okupačná ruská „armáda“, ale tá nezna na pr. takú ustanovizeň, ako je vojenská polícia. Niet tam žiadnych zákonov, žiadnych platných a uznávaných predpisov. Lúpeže, znásilňovania a chaos v najvyššej miere vládnu všade. Zdá sa, že v tej hrúze, ktorá je dnes slovenským životom, aj samostatný cit ľudskosti vyhynul.

Nuž, a keď je takýto stav vecí v samom srdci kresťanskej Európy, akože môže nádej zdvíhať hlavu, kďadialže môže optimista brať svoju tému? Vieme, že o niekoľko mesiacov slovenský ľud bude hlasovať za pripojenie svojej krajiny k S.S.S.R. Bude to jednohlasné hlasovanie, pretože protivníci privtelenia budú zlikvidovaní, alebo ich hlasovacie lístky budú zničené. Bude to procedúra, ktorú už dobre poznáme. Ale čo potom? Žiadon katolík sa neusmieri s prenasledovaním Cirkvi.

Ale aké prostriedky budú mať prenasledovaní po ruke, aby mohli svrhnuť tyranu? Pomoc im príde zázračne v podobe toho nového veľkého činiteľa ktorý sa

práve objavil na diplomatickom obzore: krátko, nič iné, ako atomová bomba, ku ktorej sa ľudská obrazovnosť ešte nemala kedy prispôbiť. Azda to znie fantasticky? Áno, to je fantastické. Spôsob, akým zlo samo zničí seba, sa veru môže zdať fantastickým našim udiveným zrakom. Logický účinok atomickej energie znamená koniec fyzickej vojny, ako sme ju poznali v minulosti.

Zahraniční ministri sídení v Moskve mohli spisať dohodu o vylúčení atomickej sily zpomedi ničivých zbraní, aby tak vojna starého typu mohla byť zachovaná ako inštrument na regulovanie medzinárodných vzťahov, a veľké mocnosti aby mohli zachovať svoju veľkosť: ale všetko, čo píšu svojimi perami, sú nesmysly, haraburdie. Atomická výbušnosť, taká nestraná, taká ďalekosiahla čo do svojej ničivej sily, je tým tajomným a preda logickým vyvrcholením, ktorým zlo fyzickej vojny zničilo samo seba.

Rok 1946 je skutočne nový rok. Prv než sa skončí, môžeme s dôverou očakávať, že celá technika medzinárodných vzťahov sa zrevolucionuje. Oslobodenie utlačeným je zaručené v dôsledku faktu, že nástroj utláčateľa, t. j. jeho ozbrojené panovanie, bude mu vyrazené z ruky tou najmalilinkejšou vecou, ktorú poznáme, atomom. Opravdu, cesty Božie sú nevyspytateľné.

(C. T., Londýn.)

GŁOS WOLNYCH POLAKÓW I CZECHÓW

Do Narodów Zjednoczonych:

My, niżej podpisani, uroczymy oświadczenie, że ani Naród Czeski, ani Naród Polski nie ponosi żadnej odpowiedzialności za sposób, w jaki Niemcy są obecnie wysiedlani z terytoriów czeskich i polskich. Rozkazy, na podstawie których te wysiedlenia są przeprowadzane, zostały wydane przez „Czechosłowacki Rząd w Pradze“ oraz przez „Tymczasowy Rząd Polski w Warszawie“. Żaden z tych rządów nie został utworzony na podstawie swobodnie wyrażonej woli obywateli.

Trzeba pamiętać, że rządy, narzucone ziemiom czeskim i Polsce, nietylko działają w kierunku oddalenia naszych obu narodów od Zachodu, lecz także,

wznawiając dawny spór o granice Śląska Cieszyńskiego, wbijają klin pomiędzy Czechów i Polaków. W taki sposób oba „rządy“ praski i warszawski, ponoszą odpowiedzialność, zarówno za obniżenie popularności Czechów i Polaków w oczach Zachodu, jak za dalsze pogarszanie się już i tak naprężonej sytuacji w Europie Środkowej.

Jednocześnie ze wznowieniem sporu cieszyńskiego oficjalna propaganda uparcie szerzy idee panslawizmu pokrewne doktrynom rasowym. Zachodzi oczywista sprzeczność pomiędzy zasadami głoszonymi przez panslawizm a podsycaniem ostrego sporu o Cieszyn. Panslawizm został słusznie określony także przez Lenina, jako narzędzie ro-

syjskiego imperjalizmu. Dzisiaj wszystkie narody słowiańskie przekonały się o tem z własnego gorzkiego doświadczenia.

My, niżej podpisani, zabieramy głos w imieniu Czechów i Polaków, ponieważ same te narody nie mogą w obecnej chwili wyrazić swych prawdziwych uczuć. Naszym zdaniem jedynym sposobem załatwienia wszystkich zagadnień Europy Środkowej będzie stworzenie Związku wszystkich narodów środkowo-europejskich, w którego ramach, na mocy swobodnej decyzji narodów, zainteresowanych, mogą znaleźć rozwiązanie wszystkie sporne sprawy w tej liczbie także sprawa Śląska Cieszyńskiego.

Londyn, 12. XII. 1945.

Gen. Lev Prchalá. Vladimor Lezak-Borin. Vaclav Misek. Dr. Karel Locher. Jiri A.D. Bertl. Maj. Zdenek Sladeczek. Józef Godlewski. Jerzy Kuncewicz. Juliusz Łukasiewicz. Bronisław Skalak. Stanisław Sopicki. Tadeusz Tomaszewski.

DZIAŁ DYSKUSYJNY

(Od jednego z naszych młodych przyjaciół otrzymaliśmy następujący artykuł. Zaznaczamy, że za artykuły w tym dziale zamieszczone, nie bierzemy odpowiedzialności. Red.)

Pisma młodzieżowe odzwierciedlają zainteresowania, poglądy i dążenia naszego pokolenia, które dojrzewa w warunkach bardzo ciężkich i przeszło już bardzo wiele i od którego równie wiele oczekuje się w przyszłości. Dlatego też obserwacja kształtowania się ideologii jest i dla nas samych bardzo ważna. Patrzymy na siebie krytycznie i uczymy się, by więcej błędów nie popełniać.

Jednym z nielicznych pism młodzieży w Palestynie jest „Kadet”, wychodzący w obozie, w Barbarze. „Na Straży” pisało już o nim w ósmym numerze dość łaskawie, korzystając więc z uprzejmości p. Redaktora, pozwałam sobie wrócić do tego tematu, poruszonego teraz już przez bezpośrednio zainteresowanego „Kadetem”. Chcę podkreślić, że mam właśnie tyle lat co i redaktorzy „Kadeta” więc mój sąd krytyczny może być równie dobrze — i napewno jest — sądem wielu innych moich rówieśników, którzy spodziewają się więcej po „Kadecie”.

Kiedy po przeszło rocznym istnieniu pisma, przeglądam jego wszystkie numery, uderza mnie różnica między sześcioma pierwszymi a dalszymi. Dlaczego tak się stało, nie wiem. Być może wyjaśnia to przypisek w jednym z numerów, że zmieniła się redakcja.

Jeżeli dawniej „Kadet” zajmował nieustępliwe stanowisko wobec wszystkich ważniejszych wydarzeń, to dziś wiele się zmieniło. Redaktorzy pisma przechodzą spokojnie obok wielu problemów społecznych, gospodarczych i politycznych, nie siląc się nawet na ich postawienie samym sobie no i czytelnikom. Pismu, wydaje się, brak jest kości. Artykuły są pisane i dobierane jakby bez zastanowienia się i bez planu. Pismo niema linii.

Nie mogę powiedzieć, żeby obecni redaktorzy czy kierownicy „Kadeta” pamiętali o przygotowywaniu siebie i swoich czytelników do tej roli, o której nasza konstytucja mówi, że „obowiązkiem każdego pokolenia jest wzmóc siłę i powagę państwa”. „Kadet” nawet nie gwarantuje, że daje 100% odprawę zgubnej propagandzie Kridłów, Pruszyńskich, Słonimskich i innych.

Ba, mało tego, redakcja tego pisma, wykazuje skłonność do obrony... zboljšewizowanego profesora i jego poglądów...:

W styczniowym numerze „Kadeta” pojawił się artykuł w obronie „literatury” Kridla i z atakiem na p. Glinkę, który słusznie „zjechał” tę szmatławą „historię literatury na tle kultury” na łamach Gazety Polskiej.

Jestem skłonny sądzić, że autor wspomnianego wyżej artykułu w „Kadecie” nie bardzo rozumiał o co Kridlowi chodziło w jego pracy i za co ją się atakuje i kim ten „uczony polski” jest naprawdę.

Oto wyjątek z wydawnictwa „Polish Labour Group” (M. Kridl, J. Wittlin i Ska), p.t. „Obrona Warszawy”, gdzie wydawcy m.n. piszą: „Obrona Warszawy... w historii nowoczesnej demokracji znajdzie się obok Komuny Paryża, walk na ulicach Czerwonego Wiednia, oblężenia Madrytu...” Może to wystarczyć?

Dlatego też wierzę, że artykuł w „Kadecie”, nie dający zresztą żadnego argumentu na obronę „literatury”, dostał się tam z powodu nieznamoścności p. Kridla i intencji jego pracy. Napewno nie ma w redakcji „Kadeta” nikogo, koby podzielał poglądy kridlowskie w całej rozciągłości.

Takie drobne posłizgnięcie się i przykry rezultat. Praca redaktorska łatwa nie jest, jak mi wiadomo. Trzeba bardzo uważać. Tymbardziej, jeśli jesteśmy w okresie kształtowania naszej ideologii, która ma stać się podstawą całego życia.

b. k.

Z NOWYCH KSIĄŻEK

Włodzimierz Bączkowski, *Rosja Wczoraj i Dziś. Jerozolima 1945. Nakładem autora. str. X + 246.*

Rosja dla Europejczyka była zawsze wielką zagadką, lub raczej wielką niewiadomą. Niegdyś leżała zbyt daleko od środowisk kulturotwórczych Zachodu, od czasów zaś rewolucji 1917 r. mimo rozwoju komunikacji, która skróciła wszystkie odległości, żelazna kurtyna zbyt szczelnie kryje jedyne w swoim rodzaju widowisko bolszewickie. Zawsze stanowiła dla człowieka zachodu coś tajemniczego, fascynowała swoim egzotykiem, swoim innym obyczajem życia, innym układem obowiązujących wartości, wreszcie swoją literaturą, bardzo stosunkowo świeżej daty (w Europie zaczęto ją czytać dopiero od czasów Turgeniewa, Tolstoja i Dostojewskiego), ale zato niezwykle

charakterystyczną i niewątpliwie przemawiającą do wyobraźni szeregiem utalentowanych nazwisk.

To wszystko, co dochodziło z Rosji do kulturalnego czytelnika Francji — mniej Anglii, która do niedawna wogóle o niczem poza Anglią wiedzieć nie chciała, a i dziś wie mniej, niżby to leżało w jej państwowym interesie — dawało obraz bardzo niedokładny i mętny, zarówno w przekroju politycznym, jak i kulturalnym tego olbrzymiego państwa, na które składają się dwa lądy i kilkadziesiąt odrębnych narodów, wyznań, ras i plemion.

Interesowano się w Europie rosyjską myślą religijną, niesamowitymi zjawiskami zupełnie swoistego mistycyzmu, oscylującego od sekcyjarskich najdziwniejszych praktyk do tolstojewskiego niesprzeciwiania się złu; przyglądano się niesłychanym rozbieżnościom

duszy rosyjskiej, od europejskości Turgeniewa do mrocznego, a genialnego opętania Dostojewskiego, niektórzy (mało ich było) starali się zorientować w myśli polityczno-historiozoficznej czołowych myślicieli i publicystów, od najbardziej carslawnych apologetów, do rewolucyjno-anarchistycznych systematów Krapotkina i Bukunina, poprzez całą gamę teorii państwowych i społecznych Leontiewów, Katkowych, Danilewskich, nihilistów, liberalów, narodowolców, słowianofilów, eurazjatów, socjal-rewolucjonistów, mienszewików i bolszewików.

Wszystko to było tym ciekawsze, że dotyczyło olbrzymich terenów i niesłychanych mas ludzkich — i wszystko to razem było i jest niezwykle trudno dostępne dla nawet bardzo inteligentnych i bardzo wykształconych ludzi Europy.

Piszący te słowa miał gdzieś w po-

czątku lat trzydziestych dłuższą rozmowę ze znakomitym slawistą prof. Boyer, dyrektorem Szkoły Języków Wschodnich w Paryżu, który—co wśród Francuzów jest rzadkością — wcale gruntownie praktycznie opanował język rosyjski. Uczony Francuz wiedział o Rosji bardzo wiele, przeczytał moc książek, znał blisko wielu wybitnych Rosjan — i Rosji nie rozumiał zupełnie. Jedno z kluczowych zagadnień rosyjskich, w wielu najważniejszych sprawach decydujące dla losów i możliwości Rosji — zagadnienie stosunków polsko-rosyjskich — było dla niego najzupełniej niedostępne.

Czegóż więc wymagać od przeciętnego inteligenta francuskiego lub angielskiego, nie mówiąc już nic o amerykańskim, dla którego Rosja jest niemal że pustym dźwiękiem?

I jak się to dzieje, że ci nieliczni ludzie Zachodu, którzy poświęcili pewną ilość czasu i pracy, aby się ze sprawami Rosji obeznać, wykazują tak małą w tych sprawach orientację?

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Studiując Rosję albo z odległości, a więc z książek, albo z tego dystansu, z jakiego Rosjanie goście zagranicznemu pokazują Rosję, gość taki często nie bierze tego, co studiuje, za prawdę. Czyta więc u Dostojewskiego o Smierdiakowie i Karamazowych, u Arcybaszewa o Saninie, gdzieindziej o Iwanie Groźnym, Katarzynie czy Piotrze Wielkim, o rosyjskich prowokatorach i rewolucjonistach, o Leninie, Trockim i Stalinie — i właściwie nie wierzy w istotną, konkretną rzeczywistość takich ludzi.

Nie wierzy, bo są to typy zbyt kulturalnie i intelektualnie odległe od tego, co on sam reprezentuje. Uważa Smierdiakowa za genialny pomysł wielkiego powieściopisarza, ale nie może się zgodzić, aby tak potworna, tak nikczemna dusza ludzka mogła naprawdę gdziekolwiek żyć życiem realnym. I nie wie, że takich Smierdiakowych w Rosji są krocie, że Dostojewski bez żadnej przesady sportretował typ, na który często patrzył własnymi oczami. Nie będzie w stanie zrozumieć, że wśród niezmiernie w Rosji licznych „poszukiwaczy prawdy” i „poszukiwaczy Boga” znajduje się znaczna ilość nędzników, którzy w przerwach między filozofowaniem na najbardziej wzniosłe tematy potrafią zachowywać się politycznie i moralnie, jak ostatnie kanalie, zresztą przyznając się do tego otwarcie, znaną z procesów bolszewickich, metodą samooskarżania się.

Czyta książki o działalności rosyjskiej ochrony z carskich czasów i bolszewickim N.K.W.D. — ale wyobraźnia jego odmawia posłuszeństwa, jeśli chodzi o stwierdzenie, że te wszystkie ohydne praktyki odbywały się dawniej

i odbywają się obecnie *naprawdę*, że *naprawdę* knut, zsyłka, łagier, stryżek lub kula rewolwerowa w tył głowy rządzi milionami nieszczęśliwych, zgłodniałych, zabiedzonych, spodłanych ludzi, na przestrzeni szóstej części ziemskiego globu.

Jest natomiast przygnieciony wielkością Rosji, jej fenomenalnym wzrostem terytorialnym i ludnościowym, jej niesłychanym bogactwem surowcowym, jej olbrzymią armią, jej rolą w pokonaniu Niemiec, jej ofiarami i zniszczeniami. I pozostaje pod sugestią jej niesamowitej siły, choćby ślepej, na martwym posłuchu i strasliwej dyscyplinie opartej, — on, który wie, jak trudno rzadzić w demokratycznym państwie i jak wielkie są wymagania demokratycznego społeczeństwa.

Rezultat tego wszystkiego jest niezawodny. Jeśli Zachód wie o Rosji zbyt mało, to napewno stwierdzić można, że nie rozumie jej wcale.

Tym głębokim niezrozumieniem tłumaczy się w znacznym stopniu niedolność polityki Zachodu w stosunku do Rosji.

* * *

Klucz do zrozumienia Rosji znajduje się dziś niewątpliwie w ręku Polaków. Nie dlatego, aby wspólność t.zw. rasy słowiańskiej mogła tu odgrywać jakąkolwiek rolę. Wspólność ta może być bardzo słusznie zakwestionowana, gdyż inne nawarstwienia rasowe, a przede wszystkim etniczne i cywilizacyjne sprawy, że w przekroju kulturalnym stanowimy w stosunku do Rosji świat niezmiernie odrębny. Ale fakt, że na znacznej części naszych dziejów sąsiedowali z Rosją, że w ciągu stukilkudziesięciu lat większa część Polski włączona była do państwowości rosyjskiej, że w ciągu stuleci prowadziliśmy z nią kilkadziesiąt wojen, a w okresie niewoli musieliśmy w codziennym życiu przeciwstawiać się jej wpływowi — wszystko to spowodowało konieczność głębokiego wnikięcia w istotę rosyjskości, w jej stosunki gospodarcze, społeczne, polityczne, w jej właściwości duchowe.

W rezultacie jesteśmy dziś jedynym narodem, dobrze Rosję znającym — i z tego tytułu na nas, nie na kogo innego, spadać winna odpowiedzialność przekazania tej wiedzy innym, a przede wszystkim Zachodowi Europy. Jest napewno naszą winą, żeśmy w tej dziedzinie zrobili za mało. Na palcach policji można autorów, którzy poświęcili Rosji systematyczne studia, a rezultaty ich prac nie były niemal wcale publikowane w obcych językach, żeby wspomnieć tu tylko o kapitalnym dziele Jana Kucharzewskiego.

Z radością tym większą stwierdzić można, że na naszym gruncie, w Jero-

zolimie, ukazało się świeżo dzieło, rzucające snop światła na Rosję, — dzieło, będące z wszelką pewnością najwybitniejszą książką, jaka się ukazała na uchodźctwie.

Książka Włodzimierza Bączkowskiego daje głęboko przemyślany obraz polityki rosyjskiej na szerokim tle historycznym i kulturalnym, doszukując się istotnych cech, których konsekwencją jest całość rozwoju linii politycznej imperium. W oparciu o olbrzymi materiał, zebrany przez długie lata studiów i poszukiwań, oraz gruntowną znajomość historii i literatury rosyjskiej, oświetla Bączkowski narastanie tego, co możnaby nazwać doktryną dynamizmu moskiewskiego od najdawniejszych czasów państwowości rosyjskiej, przez czasy niewoli tatarskiej, ksiąstwa Moskiewskiego, po tym cesarstwa, wreszcie Związku Sowieckiego.

Doszukując się źródeł siły rosyjskiej, autor dochodzi do wniosku, że polega ono na szpiegostwie i dywersji, które są nie „jednym z wielu składników siły państwowej Rosji, jak w krajach Zachodu, lecz stanowią czynnik zasadniczy, bez którego trwałość, wielkość i wiele sukcesów Rosji staje się niezrozumiałymi fenomenami” (str. 40).

Zewnętrzny obserwator mógłby sądzić, że bolszewizm, który jest najradykałniejszą rewolucją w stosunku do cara, który gruntownie przeobraził polityczny i społeczny ustrój państwa i wstrząsnął kulturalnymi podstawami, bądź co bądź, chrześcijańskiej Rosji, — zerwał z całością tradycji historycznych, obowiązujących uprzednio. Bączkowski wykazuje w szeregu niezmiernie wnikliwych rozdziałów, że pod maską gwałtownych, krwawych przemian — treść państwowości Rosji zachowała się bez zmian w niemal wszystkich dziedzinach, stanowiących o charakterze państwa.

Nawrót do tych starych tradycji nie oznacza „likwidacji rewolucji i powstawania reżymu niebolszewickiego” (str. 80). Ten nawrót „to uzgadnianie treści oraz formy w sferze tego samego zamkniętego kręgu — cywilizacji komunistycznej i zarazem moskiewskorosyjskiej” (str. 86). Niezmiennikiem dziejowym pozostaje zawsze kultura rosyjska, którą autor określa jako azjatycką w swej treści, chociaż przybierającą europejskie formy.

Analizując szczegółowo rolę Kominternu i jego rozwiązanie, odrodzenie patriarchy i cerkwi, podstawy i taktykę sowieckiej polityki zagranicznej, wreszcie politykę narodowościową Sowieców, — Bączkowski, w oparciu o fakty historyczne i autentyczne teksty oficjalnych enuncjacji kierowników nauki państwowej, wykazuje istotne oblicze całości polityki sowieckiej, zawsze i stale opartej, jak się to wyżej powie-

działo, na szpiegostwie i dywersji, zawsze i stale te same odwieczne cele mającej na widoku.

Nie sposób w krótkiej recenzji streścić bogatej treści książki. Trudno się jednak powstrzymać od zwrócenia uwagi czytelnika na rozdział zatytułowany „Dialektyczny materializm, semantyka i nawrót do tradycji” (str. 65), w którym autor na podstawie materializmu dialektycznego, stanowiącego oficjalną doktrynę bolszewizmu, bada proces wypełniania dawnych wyrazów i pojęć tradycyjnych treścią sowiecką, stwierdzając, że „wszystkie wyrazy i określenia pojęć związane z nawrotem do tradycji tłumaczone być powinny w dużym stopniu na sposób sowiecki, odpowiadający rzeczywistości sowieckiej” (str. 68). Trzeba istotnie głęboko

znawstwa teorii i praktyki bolszewizmu, aby na niewielu stronicach trudne to zagadnienie ująć w tak jasny i przekonujący sposób.

Ostatnie strony książki autor poświęca stosunkowi Rosji bolszewickiej do Polski. Wnioski swoje formuluje w sposób następujący: (str. 243)

„celem polityki sowieckiej w Polsce jest:

1. pozbawienie narodu polskiego rzeczywistej suwerenności politycznej (jest to etap już osiągnięty),

2. pozbawienie go suwerenności duchowej i złamanie jego woli oporu (skomunizowanie i oderwanie od rodzimej kultury),

3. likwidacja tych ośrodków narodo-wo-polskich, które stać się mogą za-

wiązkiem odrodzenia polskiego w przyszłości,

4. proletaryzowanie kultury polskiej, wreszcie rusyfikacja językowa i duchowa.”

Każdy, kto śledzi wypadki obecne w Polsce, przyzna Bączkowskiemu pełną rację w jego lapidarnym sformułowaniu celów bolszewickich.

Książka Bączkowskiego, poruszająca tyle i tak ważnych zagadnień, napisana jest wyjątkowo przystępnie. Czyta się ją, jak najbardziej fascynującą powieść.

Jest rzeczą niezbędną wydanie jej w obcych językach, przede wszystkim zaś w języku angielskim.

Jest to wdzięczne zadanie dla naszej propagandy, jest to zarazem jej państwowy obowiązek.

J. J.

Przegląd wydarzeń

Jakie są osiągnięcia pierwszej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych?

Różnice między wielką trójką dominowały przez cały czas trwania sesji, zarówno na Zgromadzeniu Ogólnym jak i Radzie Bezpieczeństwa, nie biorąc pod uwagę różnych komisji specjalnych, jak naprzykład humanitarnej, gdzie zarysował się wyraźny rozłam między Sowietami a ich satelitami z jednej strony a demokracjami Zachodu z drugiej, szczególnie w kwestii uchodźców europejskich.

Rada Bezpieczeństwa była ośrodkiem rozgrywek między Sowietami a Wielką Brytanią, wspomaganą niezbyt przekonująco przez Stany Zjednoczone. Okazało się to w wypadku Persji, gdzie Anglosasi poszli na całkowite ustępstwa wobec Sowietów, zgadzając się na dwustronne rokowania między stronami bezpośrednio zainteresowanymi oraz w kwestiach Grecji, Indonezji, Syrii i Libanu. Jedynie w sprawie Indonezji Stettinius poparł wyraźnie Bevina, nie zgadzając się na propozycję sowiecką wysłania komisji badawczej do Indii Holenderskich. Jeśli chodzi o kraje Lewantu, to jak wiadomo, Stettinius zajął stanowisko pośrednie między sowieckim a brytyjskim.

Rada Bezpieczeństwa nie rozwiązała żadnego problemu międzynarodowego i nie przyczyniła się w żaden sposób do złagodzenia napięcia między wielką trójką, a szczególnie między Wielką Brytanią a Sowietami. Rada Bezpieczeństwa żadnego problemu rozwiązać nie może, bowiem między Wielką Brytanią a Sowietami panuje bardzo ostry konflikt polityczny. Konflikt ten wywołały Sowiety, kwestionując *status quo* brytyjskiego imperium. Sowiety

wykorzystując niekorzystną dla Wielkiej Brytanii sytuację w świecie islamu oraz jej ciężkie warunki wewnętrzne, nie zawahały się przed atakiem na imperium nawet na forum OZN. Walka prowadzona przez prasę i radio sowieckie oraz agentów partii komunistycznych w wielu krajach przeniosła się również na teren obrad międzynarodowych.

Nie możemy więc mówić o żadnych osiągnięciach OZN. Mamy konflikt, który stoi na drodze do jakiegokolwiek współpracy międzynarodowej i któremu żadna organizacja międzynarodowa zapobiec nie jest w stanie.

Konflikt jest zasadniczy. Naprzeciw siebie stoją dwa diametralnie różne światy. Odmienne w swych światopoglądach — stosunku do Boga, ludzkiej jednostki, społeczeństwa, obowiązków i przywilejów obywatela, odmienne w samej koncepcji życia, jego sposobu i celu (w każdej dziedzinie), a najbardziej różne od siebie na płaszczyźnie metod i celów politycznych, gdzie Sowiety dążą zdecydowanie i planowo (zgodnie z wytycznymi sowieckiego Mein Kampf — Zagadnień Leninizmu, Stalina) do opanowania świata, a Wielka Brytania do utrzymania swego imperium i osiągnięcia współpracy międzynarodowej w bardzo szerokim zakresie dla utrzymania pokoju.

Reakcja spowodowana atakami sowieckimi na Wielką Brytanię przybiera na sile. Opozycja konserwatystów w parlamencie opowiedziała się całkowicie po stronie Bevina. MacMillan, b. minister-rezydent na Bliskim Wschodzie, rozpoczynając dyskusję na temat polityki zagranicznej, zaczął od stwierdzenia, że stosunki między Sowietami a

Wielką Brytanią są alarmująco napięte.

„Dyplomacja sowiecka” mówił MacMillan, „skoncentrowała swe ataki na rejonach Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu, przeciw uznanym i ustabilizowanym interesom brytyjskim. Czegoż chce Rosja? Jakie są powody tej taktyki? Czyżby to była ta sama polityka imperialistyczna, którą prowadziła Rosja carska, niepokojąc potęgę europejskie w drugiej połowie XIX wieku? Czyż to nie ten sam cel-czasowo zapomniany w okresie rewolucji — ma obecna polityka sowiecka? A może Rosja uległa tym samym siłom i prądom, które panowały kolejno w Hiszpanii, Francji i Niemczech i zdecydowała się na podbicie świata? Jaki jest właściwie cel dzisiejszej Rosji? Czy powrót do wojującego komunizmu międzynarodowego? Czy teoria wojny zwyciężyła a napowrót w Sowietach? Ale my aż do ostatniego tchu w piersiach będziemy się bronili przed przyjęciem jakiegokolwiek doktryn politycznych i ekonomicznych w sposób nie pochodzący z naszego własnego, wolnego i demokratycznego wyboru!”

„Opozycja” mówił dalej MacMillan, „zatwierdza i aprobuje stanowisko zajęte przez ministra Bevina w sprawie Persji, Indonezji, państw Lewantu i Grecji. Bevin odegrał wielką rolę narodową i międzynarodową.

Na Radzie Bezpieczeństwa znalazła zastosowanie nowa metoda przeprowadzania ataku, bądź to bezpośredniego bądź to pośredniego, na wszystkie luźniejsze kłamry w łańcuchu światowego bezpieczeństwa i pokoju. Użyto nowej metody rywalizacji opartej na obawach rodzaju strategicznego, wspomaganiej

orężem ideologii. Byłoby szaleństwem udawać, że się nie widzi, iż przymierze anglo-amerykańsko-sowieckie, tak mocne podczas wojny, przestało faktycznie, jeśli i nie formalnie obowiązywać.

Bevin, w swoim *resumé* dwudniowej debaty izby i obrad OZN zajął stanowisko równie mocne jak podczas obrad Rady Bezpieczeństwa. Otwarcie poparł Turcję, oświadczył pod adresem Sowietów, że nie życzy sobie, ażeby Turcja została zamieniona na państwo dla nich „przyjazne”.

W sprawie memorandum jugosłowiańskiego, popartego listem sowieckim do Rady Bezpieczeństwa, informującego członków OZN o niebezpieczeństwie dla pokoju z powodu obecności wojsk polskich we Włoszech, Bevin dał stanowczą odpawę Sowietom, wykazując, że wojska polskie wcale nie zajmują pozycji na Lini Morgana i nie zagrażają Jugosławii.

Po raz pierwszy od czasu zakończenia działań wojennych minister brytyjski wziął w obronę wojska polskie na obczyźnie. Bronił ich gorąco, mówiąc że zna dobrze Polaków, dla których żywi wiele uczuć serdeczności, których nie może opuścić w chwili próby, gdyż byłoby to przeciwne jego własnym zasadom moralnym jak i tradycji brytyjskiej. Bevin prosił izbę o cierpliwość w sprawie armii polskiej, dodając: „nie mogę rzucić tych ludzi, którzy stali przy nas w najcięższych chwilach i walczyli za nas, na pożarcie wilkom”. Charakterystyczna była uwaga Bevina, wypowiedziana w związku z fałszywymi oskarżeniami generała Andersa przez Sowiety o utrzymywanie kontaktu z tajnymi organizacjami w Polsce: „Polacy mieli armię podziemną nie tylko w tej wojnie ale i w ciągu dwóch stuleci. Nie można oczekiwać, ażeby zmienili swe metody w jednej chwili.”

Bardzo ważnym było wyjawienie przez Bevina propozycji przez niego uczynionej w Moskwie, podczas ostatniej konferencji ministrów spraw zagranicznych, przedłużenia paktu angielsko-sowieckiego do lat 50. Do dziś dnia Sowiety na tę propozycję jeszcze nie odpowiedziały.

Najważniejszym jednak z całej mowy brytyjskiego ministra spraw zagranicznych było oświadczenie, że nie widzi on powodów, dla których Sowiety i Wielka Brytania miałyby się znaleźć w wojnie przeciw sobie. Po raz pierwszy od sześciu i pół roku, minister brytyjski, wyrzekł słowa „Sowiety wojna” i „Wielka Brytania” w ścisłym związku z sobą, rzucając przez to cień wątpliwości i niepokoju na temat przyszłych stosunków brytyjsko-sowieckich.

* * *

Ten sam akcent, o ile wyraźniejszy, znajdujemy w najpoważniejszym dzien-

niku amerykańskim „New York Times”, który pisze, że imperium brytyjskie znajduje się w niebezpieczeństwie — pod ciągłymi atakami sowieckimi — i, że w wypadku wojny, Stany Zjednoczone musiałyby stanąć po stronie Wielkiej Brytanii.

Jak się okazało po mowie amerykańskiego ministra spraw zagranicznych, Byrnesa, była to tylko pierwsza jaskółka. Zanim jednak przystąpimy do omówienia mowy Byrnesa, wypier należy wspomnieć o przemówieniu senatora Vandenberg, wybitnego republikanina, członka delegacji amerykańskiej do OZN.

Vandenberg, reprezentant opozycji, skrytykował politykę rządową, domagając się zajęcia przez rząd stanowiska mocnego w stosunku do Sowietów, na wzór polityki brytyjskiej.

Za kilkanaście dni minister spraw zagranicznych czyni żądanie życzeniom członka opozycji, wygłaszając mowę, w której zajmuje właśnie to zdecydowane stanowisko antysowieckie. (Prasa amerykańska nazywa je najsilniejszym przemówieniem, jakie kiedykolwiek wygłosił minister U.S.A.) Oto co powiedział Byrnes:

„W interesie pokoju, Stany Zjednoczone będą broniły Karty Zjednoczonych Narodów. Stany Zjednoczone nie chcą i nie mogą przypatrywać się bezczynnie, gdy jakieś państwo stosuje siłę lub grozi jej użyciem, wbrew postanowieniom i zasadom Karty. Żadne państwo nie ma prawa utrzymywania swych sił zbrojnych na obszarze drugiego, bez zgody i aprobaty tegoż, wyrażonych bez żadnego nacisku. Nie wolno nam przedłużać niepotrzebnie przygotowań pokojowych utrzymywaniem armii w małych, wyniszczonych wojną krajach. Żadnemu państwu nie wolno prowadzić wojny nerwów dla osiągnięcia swych celów strategicznych. Żadne państwo nie ma prawa wzbogacać się kosztem mienia państwa oswobodzonego lub ex-satelity osi, zanim alianci nie uzgodnią między sobą sumy i rodzaju reparacji wojennych”.

Przypominając, że kilka dni przedtem zaprzeczył twierdzeniom sowieckim, jakoby układ między wielką trójką w Jaltcie czy Poczdamie zezwalał Sowietom na ogalanie fabryk mandżurskich, Byrnes zaznaczył:

„Stany Zjednoczone nigdy nie zgodziły się i nie zgodzą, ażeby jakakolwiek potęga decydowała sama o tym, co ma zabrać z drugiego kraju”.

Omawiając pierwszą sesję OZN, Byrnes przyznał, że nie wszystko odbyło się tam w atmosferze przyjaźni i spokoju. „Nie powiedziałbym prawdy” rzekł Byrnes, „gdybym stwierdził, że obecne stosunki międzynarodowe gwarantują pokój. Wszędzie są podejrzenia i nieufność. Niektóre bezpodstawne, ale

większość ma podstawę. Jeśli wielkie potęgi nie zdecydują się na obronę prawa na całym świecie, to OZN nie będzie mogła zapobiec wojnie. Karta OZN zakazuje agresji. Stany Zjednoczone nie zezwolą żadnemu państwu na przeprowadzenie jakiegokolwiek agresji, czy to siłą, czy też za pomocą infiltracji politycznej”.

Uderzając w nutę Bevina, Byrnes powiedział, że jedynie „niewybaczalna tragedia błędów” mogłaby doprowadzić do poważnego konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a Sowietami.

Czyich błędów? Jakich błędów? Byrnes powiedział więcej, bo Bevin mówiąc o tym samym „nie wiedział dla jakich powodów Wielka Brytania miałaby bić się z Sowietami”. Byrnes już wie.

Reasumując stanowiska brytyjskie i amerykańskie: w pierwszym, opozycja popiera rząd. W drugim, rząd uczynił żądanie życzeniom opozycji. W obydwu chodzi o to samo, o mocne stanowisko w stosunku do Sowietów. Od góry, od rządów i od opozycji, poszło w dół, w społeczeństwa, pierwsze *placet* na poruszenie tematu — dotychczas oficjalnie jakby zakazanego —: konfliktu zbrojnego Anglosasów z Sowietami.

* * *

Jeśli Anglosasi postanowią, że nadszedł czas na rozgrywkę z Sowietami, to błędów tych, składających się na tragedię, znajdą bardzo wiele. Pierwszym bez wątpienia jest Persja:

Złamanie przez Sowiety traktatu trzech mocarstw, przez pozostawienie wojsk w północnej Persji po dniu 2 marca — terminie ewakuacji, przewidzianym przez traktat.

Drugim mogłaby być Kanada, z sowiecką aferą szpiegowską, ukoronowaną cynicznym oświadczeniem Moskwy, zarzucającym rządowi kanadyjskiemu niewłaściwość postępowania i szerzenie propagandy antysowieckiej, gdyż według Kremla Kanada nie powinna była rozgłaszać tej sprawy przed skomunikowaniem się z rządem sowieckim. Oświadczeniem stwierdzającym bezczelnie, jakby na usprawiedliwienie, że według informacji uzyskanych przez szpiegów sowieckich, prace nad bombą atomową w Sowietach są o wiele dalej posunięte niż w Kanadzie.

Trójny, gdzie armia czerwona w Mandżurji kradnie i rabuje co się da, specjalną uwagę zwracając na fabryki. Gdzie 250.000 studentów demonstruje przeciw okupacji Mandżurji przez Sowiety, wbrew postanowieniom umowy sowiecko-chińskiej, domagając się jednocześnie zajęcia bardziej stanowczego stanowiska od własnego rządu w stosunku do Sowietów.

I wreszcie Europa Środkowo-Wschodnia, oddana przez Churchilla i Roose-

velta Stalinowi. Tutaj prawie każdy dzień nastarcza okazji do interwencji anglosaskiej, gdyż rządy agentów komunistycznych, od wyniszczonych zupełnie republik bałtyckich do Jugosławii, są najbezwzględniejszym pogwałceniem zasad demokracji, najcyniczniejszym zaprzeczeniem „zwycięstwa” idealów Zachodu i najoczywistszym złamaniem postanowień i zasad Karty Zjednoczonych Narodów.

Tutaj Sowiety przez swoją akcję urągają beczelnie Zachodowi, pisząc w swej prasie z sardonicznym humorem, że „małe państwa demokratyczne oczekują, kiedy brytyjska polityka zagraniczna zacznie brać pod uwagę szczytne oświadczenia aliantów, z czasów wojny, na temat obrony idealów demokracji i niepodległości państwowej. Jak dotychczas czekają napróżno”. (Nowoje Wremia).

Wiele jest, jak widać, powodów, dla których Anglosasi mogliby znaleźć się w wojnie z Sowietami. Należy jednak pamiętać, że demokracje walczą tylko w ostateczności i bardzo rzadko pierwsze atakują. Chyba że mają nóż na gardle. Ten nóż sowiecki jest już od gardła brytyjskiego niedaleko.

Przygotowania opinii anglosaskiej do nowych sytuacji wojskowych i politycznych są w toku. Zaledwie Bevin i MacMillan oraz Vandenberg i Byrnes skończyli mówić o polityce swych państw w stosunku do Sowietów, rozważając możliwości konfliktu, gdy już znaleźli się nowi ludzie, poruszający publicznie ten sam temat.

Były ambasador U.S.A. w Moskwie, Harriman, w wywiadzie radiowym, transmitowanym przez wszystkie rozgłośnie amerykańskie, zajął się wyłącznie kwestią stosunków amerykańsko-sowieckich. Stwierdził on, że chociaż obydwa kraje różnią się od siebie bardzo we wszystkim, to jednak, jego zdaniem, mogą żyć z sobą w pokoju, jeśli znajdą wspólny język dla usunięcia panujących między nimi różnic. Cały wywiad Harrimana, pozornie sądząc, mógłby wydawać się optymistyczny, kryło się w nim jednak tyle zastrzeżeń, że optymistycznym napewno nazwać go nie można.

Dlaczego jednak Harriman w ogóle mówił na ten temat? Kto go o to prosił? Czyżby jego oświadczenie miało, jakikolwiek związek z wypowiedziami Bevina, Byrnesa i towarzyszy?

Biorąc pod uwagę dziwną zbieżność tych wszystkich oświadczeń, można przypuszczać, że rządy brytyjski i amerykański prowadzą wspólną akcję celem uzgodnienia swej polityki w stosunku

do Sowietów.

Wszystkie, omówione wyżej wypowiedzi błędą w porównaniu z jasnością i siłą przemówienia Churchilla.

Mowa Churchilla składa się z dwóch części. Pierwsza, to niezwykle silne ostrzeżenie świata przed niebezpieczeństwem sowieckim, druga, konieczność aliansu wojskowego między Stanami a Wielką Brytanią, dla przeciwstawienia się temu niebezpieczeństwu.

Churchill nie zaważał się porównać naddciągającej groźby sowieckiego komunizmu z z groźbą niemieckiego hitlerizmu sprzed lat 10. Przypomniał, że w swoim czasie napróżno ostrzegał przed Niemcami, dzisiaj ostrzega znowu, tym razem przed Sowietami.

Jeden tylko rok, a właściwie 9 miesięcy czasu daje Churchill na porozumienie się z Sowietami, przy czym, wyraźnie widać, że tego porozumienia z „niebezpieczeństwem dla cywilizacji chrześcijańskiej”, nie uważa za możliwe.

Dlaczego Churchill mówi, że z Sowietami trzeba dojść do porozumienia w roku 1946, a nie w 1947 czy 1948? Dlatego, że postępując konsekwentnie — jeszcze jako premier Churchill ostrzegał, że dwóch lat potrzeba Sowietom dla skonstruowania własnej bomby atomowej — przypomina, że czas upływa i że Rosję musi się pokonać zanim będzie ona miała swoją własną bombę.

Kwestia wojny z Sowietami nie jest jednak najważniejszym tematem przemówienia Churchilla. Wojnę tę Churchill uważa za pewne za rzecz przesądzoną. Istotnym problemem jego mowy jest układ stosunków powojennych.

Wojnę pierwszą, z Niemcami wygrały lepiej lub gorzej-mózg angielski, kapitał amerykański i sowieckie mięso armatnie. Na placu boju pozostało trzech zwycięzców, rywalizujących z sobą w różny sposób. Po rozprawie z Sowietami pozostanie jedynie dwóch. Nie będą oni rywalizowali z sobą militarnie, ale muszą rywalizować gospodarczo. Olbrzymi kontynent stanie szeroko otworem dla przemysłu angielskiego i amerykańskiego.

Wojnę z Sowietami wygra amerykańska bomba atomowa. Stany Zjednoczone nie będą chciały zrzec się na czyjąś korzyść owoców zwycięstwa. Będą zmierzały do zapewnienia sobie w Azji swego wyłącznego rynku zbytu. Ich potęga polityczna wzrośnie w sposób gigantyczny. Stany Zjednoczone staną się pierwszym mocarstwem świata, przy którym Wielka Brytania nie będzie wiele znaczyła, przy którym osłabnie jej siła przyciągania, jaką obecnie we Wspólnocie Brytyjskiej posiada.

To wszystko widzi Churchill i stara się temu zapobiec. Szalona prosperity

gospodarcza, jaka nastanie po pokonaniu Sowietów, winna stać się nie tylko udziałem Stanów Zjednoczonych lecz Wielka Brytania musi mieć też w niej udział. Dlatego Churchill już dzisiaj czyni starania, ażeby jej ten udział zapewnić, a oprócz tego politycznie kraj swój wzmocnić.

Brytyjsko-amerykański alians wojskowy nie ma żadnej racji bytu. Obydwa kraje były się dobrze oddzielnie przeciw Niemcom, współpracując owocnie w różnych mieszanych komisjach i sztabach. To samo, z równym powodzeniem, mogłoby powtórzyć się w wypadku wojny z Sowietami. Ale propozycja Churchilla kryje w sobie cel bardzo daleki i ważny. Celem tym jest związanie, początkowo przez alians, polityki amerykańskiej z brytyjską, dla zapewnienia Wielkiej Brytanii nie byle jakiego udziału w owocach zwycięstwa, po pokonaniu Sowietów.

Amerykanie w Japonii i Chinach, w razie wojny z Sowietami, znajdują się pierwsi w Azji centralnej i zachodniej. Kontrolują bowiem całą Azję z baz lotniczych w Chinach i Japonii. Nikt im nie przeszkodzi w otwarciu i organizacji rynków zbytu w byłym państwie sowieckim.

Wielka Brytania będzie miała do pokonania duże trudności transportowe poprzez kontynent europejski, na którym, napewno nie zaraz nastąpi pokój. Dwa porty na północy, Murmańsk i Archangielsk, na południu Odesa i Piersja, pozwalają na okrążenie Europy, ale bez porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi, ani linie komunikacyjne przez Europę, ani porty sowieckie, nie przydadzą się Wielkiej Brytanii na nic. Dlatego też Anglicy za wszelką cenę będą zmierzali do uzyskania tego porozumienia ze Stanami, starając się uzyskać równe z nimi przywileje i uprawnienia polityczne na całym terenie Rosji.

Anglicy, jako politycy, bez wątpienia przewyższają Amerykanów, którym brak tego olbrzymiego doświadczenia, jakiego nabyli w ciągu dwóch ostatnich stuleci od pierwszych. Dlatego też Amerykanie obawiają się zbyt ścisłego związku z polityką Wielkiej Brytanii, pragnąc wykorzystać dla siebie wyłącznie korzyści płynące z uzyskania olbrzymiego rynku w Azji.

Tym tłumaczy się opozycja amerykańska do tej części mowy Churchilla, w której mówi on o sojuszu wojskowym. Reszta mowy, w odniesieniu do Sowietów, nie budzi żadnych zastrzeżeń.

Burza, jaką rozpętała mowa Churchilla, jest zwiastunem huraganu, który zbiera się nad światem.

J.Z.K.